**Nr. 30 (1074).** Warszawa, dnia 14 (27) Lipca 1901 r. **Rok XXI.**

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.





## POLITYKA.

### UPADEK LIBERALIZMU.

W Anglii — dodać potrzeba. Na kontynencie już za dni naszych dokonała się przemiana liberalizmu w nicość; tu jest się demokratą politycznym albo społecznym i walczy o zapewnienie ludowi lepszych warunków życia, rzetelniejszej opieki i uobywatelenia z tymi, którym znowu dobro klas wyższych leży na sercu. Zawsze i ciągle jeszcze klasowość jak była, tak jest przekonaniem-uczuciem różniczkującem pojęcia i czyny. Stronnictw narodowych, dbających o dobro całości, a nie o swych najbliższych lub swych umiłowanych, niema. Narodowymi są tylko dobre rządy. W Niemczech, gdzie liberalizm miał charakter zespalający oba kierunki, oba czynniki ruchu i porządku państwowego, utrzymał się też najdłużej jako kupa, masa, ilość, i najpierwej też spodlał w swej ideowej jakości, z chwilą, gdy ideałowi narodowemu rozum polityczny jednych, nierozum drugich, siła materyalna, a wreszcie owo nieszczęsne szczęście zapewniły zwycięztwo. Trzyma się to jeszcze i niby w gruncie powszechności rośnie, ale z narodowo-liberalnego stało się handlowo-liberalnem. Dodać trochę protestanckiej gorączki, objawiającej się nienawiścią ku katolicyzmowi, dodać dużo nienawiści do żywiołu polskiego: a będzie się miało liberalizm dzisiejszy w Niemczech, w Prusiech, Niemcy za sobą ciągnących. W pozostałej Europie już go zdmuchnął czas—działający w czasie duch.

I w Anglii też nadchodzi już jego kres. Tu rozwinął się on był z dawnego wigizmu i najdoskonalej wyraził w Gladstonie. Można też powiedzieć, że przez niego skrystalizowany w postać odrazu najszlachetniejszą, wraz z jego skonem zamierać zaczął. Był on reakcyą przeciwko ciasnocie zachowawczości. Postępującemu rozwojowi po wojnach napoleońskich dawne hasła, dawne szufladki wigów i torysów, pochodzące jeszcze z XVII w., nie wystarczały; oba kierunki dawniejsze utraciły swą żywotność, swą podstawę w rozumie czynnym i w namiętnościach nadających mu rozpęd. O monarchiczności rządu, o przywiązaniu do tej lub innej dynastyi, o stosunku do Covenanterów szkockich, o bardziej arystokratycznym lub bardziej szlacheckim charakterze rządów — nie mogło być mowy w XIX w. *Whigs* i *Tories* po r. 1832, po wielkiej reformie wyborczej, byli już tylko staremi nazwami rzeczy nowych: wolnomyślnej postępowości, ogarniającej wszystko i wszystkich, i zachowawczości upartej, broniącej stanowisk przestarzałych, praw, które musiano powrzucać w ogień, jeśli chciano żyć w potędze, porządku i pewnej sprawiedliwości. Bohaterem tej walki był wielki mąż, którego Anglia przed trzema laty utraciła. Za niego liberalizm stał się tak potężnym, że nietylko w parlamencie i w narodzie nad przeciwnikami swymi panował, ale ich nawracał, co było prawdziwym już jego tryumfem. Zachowawcy do programatu swego wiele przyjęli z wyznania wiary liberalnej; liberalizm ich jednak nie rozsadził.

Stało się przeciwnie: zachowawczość ugłaskana stoi, a liberalizm upada. O zasadach politycznych stanowi życie: zasady z niego wyrastają i w niem rosną, a jeżeli nim kierują, jeżeli jest to ich powołaniem, to nawzajem i ono je też kształtuje, a co najmniej ogranicza. Życie w Anglii powoli gromadziło nad liberalizmem obłoki, z których wytworzyła się chmura. Liberalizm widział przed sobą tylko państwo, powszechność bierną, zgodną, lub czynną, niezgodami wrzącą, w życiu wewnętrznem, państwowem; w nie zapatrzony nie zauważył, że Anglia stawała się z każdym rokiem coraz większem mocarstwem i że to poczucie wielkiej mocarstwowej potęgi musiało wejść w całość sił żywych polityki wewnętrznej jako pobudka, jako *principium movens*, gniotące inne. Już przyobleczenie królowej Wiktoryi w tytuł cesarzowej Indyj było wskazówką świtania nowej doby, w której słońcem dla umysłów będzie imperyalizm, rozpościeranie i organizowanie zdobyczy po całej kuli ziemskiej rozrzuconych. „Greater Britain“ Dilke'a—niosło wyrok na liberalizm i jego zagadnienia wewnętrzne. Jeden z kapitalnych punktów liberalizmu angielskiego: sprawiedliwość dla Irlandyi — pod działaniem tego prądu wielkości, podnoszącego poczucie narodowe do potęgi najwyższej, musiał rozburzająco wpłynąć i na sam programat liberalny. Jeżeli sprawiedliwość sama w w sobie jest ckliwym sentymentalizmem, sprawiedliwość względem Irlandyi może być tylko zaprzaństwem narodowem, brakiem patryotyzmu, jakimś wrzodem, trądem, gangreną. Jeżeli wielkość mocarstwa potrzebuje i dopomina się zaborów, to jakaś tam litość dla Transwalu jest zdradą idei najwyżej dziś umysły podbijającej i najsilniej rozpalającej serca. W to bili zachowawcy imperyaliści i tem wygrali: rozpadł się sam liberalizm, a zachowawczość, rdzenniej w narodowym egoizmie od niego tkwiąca, nad szczątkami jego biesiady sobie wyprawia.

Z chwilą, gdy liberalizm ukąsił Transwalu i zasmakował w nim, z chwilą, gdy o Irlandyi roztropnie milczeć zaczął, bo mówićby nie mógł bez oburzenia lub szyderstwa, liberalizmu już niema. Cały Gladstone jest dziś smutną elegią. Życie rwie naprzód, tam, gdzie ma drogę najła-

twiejszą — ku egoizmowi narodowemu. Może wyrobi się dla bytu wewnętrznego jaki prąd rozszerzający coraz dalej i głębiej wolność jednostki i zespolenia; może coraz nowym stosunkom, zespoleniom i jednostkom zapewniać będzie tę opiekę państwa, której idea grzebie dziś w Anglii i przydeptuje polityczny i ekonomiczny manczesteryzm — słuszną przez lat wiele jej dumę: dawnego liberalizmu nie wskrzesi już nic. Nastaje chwila, w której radykalizm angielski, angielska demokracya, jak największym zakreślona promieniem, ma pokazać swą żywotność, ma dowieść, że żyje, że nie jest tylko dojutrkiem, jętką, którą lada deszcz spłucze. Rola liberalizmu na niego teraz przechodzi. Można się obawiać, czy ją odegra jak na dobrego aktora przystało, ale trzeba się już lękać, czy wogóle, nie rolę już, ale powołanie swe pojmuje i czy do spełnienia jego ma siłę i talent. Nad zagadnienia wewnętrzne, nad sprawy temperamentu, postępowości, zachowawczości, nad interesa klas, nad wszelkie te dobra, o które liberalni z zachowawcami walczyli—wzbija się dziś zadanie utrzymania olbrzymiego mocarstwa w spójni zapewniającej byt i potęgę; zapewnienie mu dalszego rozrostu i przeprowadzenie go przez widoczne i niewidoczne skały, o które nawa jego rozbić by się mogła. Federalizm, militaryzm, polityka międzynarodowa, czysto już dyplomatyczne ustosunkowanie się do innych mocarstw we wspólnym oceanie żerujących — te idee świecić będą na czole geniusza Anglii w XX wieku. Demokracya, wolnomyślność, postępowość, posiłkowe tylko mieć mogą znaczenie.

## LISTY GALICYJSKIE.

Skończyła się kadencya sejmowa i nowe wybory do sejmu już zaczynają straszyć w organach prasy ludowej. Z różnych stron dochodzą wieści o przygotowujących się niespodziankach dla opozycyi, zwłaszcza chłopskiej. Starostowie polecili gminom zestawić dokładne listy wyborcze do 20 lipca, jakkolwiek same wybory mają być rozpisane dopiero w końcu tego miesiąca. Gdzieindziej wszelkie czynności urzędowe, połączone z wyborami, rozpoczynają się dopiero po rozpisaniu wyborów, ale sfery rządzące w Galicyi widocznie pragną, ażeby prawybory (tj. wybory wyborców, głosujących na kandydatów) były rozpoczęte bezpośrednio po zapisaniu wyborów. Chodzi tu o pozostawienie wyborcom jak najmniej czasu nietylko do agitacyi przedwyborczej, ale i do porozumienia się co do kandydatur. W celu skrępowania agitacyi przedwyborczej już zrobiono krok pierwszy, nie rozpisując wyborów zaraz po zamknięciu sejmu, lecz zwlekając z tem do 25 lipca. Uszczuplono więc okres przedwyborczy o dwa tygodnie — to znaczy, że agitacya całkiem swobodna (ze zwoływaniem zgromadzeń bez meldowania o nich władzom i bez obecności na nich przedstawicieli władz) będzie mogła się rozpocząć dopiero w dwa tygodnie później. Rzecz bardzo charakterystyczna, że rozpisanie wyborów ma nastąpić d. 25 lipca, tj. nazajutrz po skompletowaniu owej „mafii galicyjskiej," o której pisaliśmy w poprzednim liście — konserwatywnego komitetu centralnego.

Jesteśmy więc w przededniu walki wyborczej i organy prasy galicyjskiej wszelkich kierunków już udzielają wskazówek swym zwolennikom. Wyłaniają się już kandydatury, zawiązują się komitety lokalne itd. Walka wyborcza zapowiada się bardzo interesująco, zwłaszcza wobec udziału w niej zupełnie nowego czynnika—partyi robotniczej, która niedawno na swym kongresie uchwaliła pokusić się o zdobycie bodaj paru mandatów sejmowych, i wobec dość dziwnych stosunków, które zapanowały w obozie chłopskim w ostatnich czasach. Tak przedostatnie, jak i ostatnie wybory sejmowe odbywały się pod hasłem: „chłopi — wybierajcie posłów chłopskich!" Zwłaszcza charakterystyczne były wybory ostatnie, w r. 1895, kiedy zjednoczona opozycya ludowa potężnie wyszczerbiła mur przemocy konserwatywnej. W całym szeregu okręgów wyborczych IV-ej kuryi (mniejszej posiadłości wiejskiej) zwyciężyli kandydaci chłopscy, pomimo niesłychanych nadużyć i gwałtów ze strony konserwatystów. W Dąbrowie Bojko zwyciężył samego prezesa komitetu centralnego większością 46 głosów na 152 głosujących. W Wadowicach padł prof. F. Zoll, członek Izby panów, pobity przez chłopa Stylę. Włościanie krakowscy oddali mandat swemu koledze, Wójcikowi, zgotowawszy sromotną porażkę jednemu z najwybitniejszych stańczyków — Paszkowskiemu. W Mielcu prawie jednogłośnie wybrano chłopa Krępę przeciwko hr. Reyowi. W Myślenicach, w Brzesku, w Żywcu, w Pilźnie, Jaśle, Nowym Sączu, Białej, Przemyślu wybrano posłów ludowych, a w Krośnie, Gorlicach, Tarnobrzegu, Wieliczce i Grybowie kandydatom chłopskim mało brakło do wyboru. Wszędzie zaś, gdzie tylko stawiano samodzielne chłopskie kandydatury, padały na nie liczne głosy wyborców włościańskich. Wielki zapał i entuzyazm ogarnął był cały obóz ludowy, który podówczas szedł ławą, pod jednym sztandarem. Stojałowski z Wysłouchem i Stapińskim kierowali całą akcyą wyborczą i obóz chłopski w sejmie dopiero później rozpadł się na odłamy—bardziej konserwatywny (Potoczek*), Kramarczyk, Data, Szwed i Warzecha) i radykalny, przyznający się bez zastrzeżeń do programu *Przyjaciela ludu.*

Cała postępowa część społeczeństwa cieszyła się z tego pierwszego walnego zwycięztwa ludu. W tych perłach chłopskich widziano zbawców kraju, spodziewano się niesłychanych plonów ich pracy, oczekiwano czynów przełomowych. Naturalnie, że tak wygórowane nadzieje nie ziściły się. Chłopscy posłowie zaprezentowali się w sejmie zupełnie przyzwoicie, przemawiali całkiem rozsądnie, upominali się energicznie o spełnienie żądań masy chłopskiej, ale ani nie złamali przewagi konserwatystów, ani nie stworzyli „nowej ery" w dziejach opozycyi galicyjskiej. Pierwszego zadania nie mogli w żaden sposób spełnić, gdyż było ich za mało w stosunku do ogółu posłów, a co do drugiego, to wprost nie dorośli do niego. Da się to powiedzieć nietylko o posłach chłopskich w sukmanach, jak Bojko lub Średniowski, ale i o ich koledze w surducie—dr. Szymonie Bernadzikowskim, pośle z IV kuryi pow. Brzeskiego. Najradykalniejsi z posłów-ludowców nie potrafili wznieść się ponad hasło posła Bojki: „nie przeciwko szlachcie, ale obok niej" i uderzyć w strunę bezwzględnej opozycyi. Byli przez cały czas trwania kadencyi sejmowej oportunistami, występującymi od czasu do czasu z ostremi mowami przeciwko konserwatystom, ale z całym pietyzmem

*) Potoczek był jedynym kandydatem chłopskim, popieranym i przez komitet centralny.

---

4)

Napoleon Rouba.

# CHYBIONE SWATY.

Proboszcza zastali w ogrodzie przy domu. Staruszek chodził sobie po ścieżce sam jeden, zapewne oddany myślom, coby rzec parafianom z ambony przy świętej niedzieli.

Jak przystało, podjęli go oboje pod nogi i pocałowali w rękę.

— Z czem to przychodzicie, moi kochani?—zaraz ich spytał.

— A to, proszę łaski księdza proboszcza, przyszliśmy dać na zapowiedzi — wyrwał się karbowy, sięgając już do kieszeni.

Starzec machnął rękami niechętnie, co widząc Józefowa, ponownie schyliła się do nóg.

— Wierzę, moi kochani, że pilno wam bardzo, lecz tak się nie robi. Małżeństwo to rzecz poważna i godzi się o tem dłużej nieco pomówić, ile że to i owo dałoby się powiedzieć o tych waszych zamiarach.

— Oboje nieczasowi jesteśmy, a i opieki nad sobą nie mamy żadnej—odburknął trunkiem podniecony karbowy.

— Aleś u Szmula był już, mój bracie?

— Bom miał potrzebę.

— To wiedz, że mi nie wypada słuchać was teraz i mówić o sakramencie, kiedy mi karczmą cuchniecie.

— Niech się wielmożny proboszcz zmiłuje nad nami — próbowała prosić Józefowa.

— Nic z tego, przyjdźcie w przyszłą sobotę — odrzekł proboszcz stanowczo i skinieniem ręki pożegnał oboje.

Postali jeszcze chwilę i wyszli, ale za wrotami jęli się znowu naradzać.

— Pójdźmy do organisty, czy co — podsunęła myśl zniecierpliwiona kobieta, bo i wstyd ją ogarniał na tę myśl, że ludzie śmiać się będą nie słysząc zapowiedzi.

Więc poszli. Znaleźli go już w kościele, musztrującego bez litości czterech wyrostków, powołanych do służby kościelnej.

— A cóż wam na to poradzę? — odparł niechętnie.

Karbowy wziął go na stronę i jął o czemś szeptać a dowodzić.

Józefowa daremnie nasłuchiwała, bo oni to widząc, jeszcze się odsunęli.

Wzięła ją złość słuszna i żal niezmierny, bo jej się zdało, że z takiego zmawiania nic dobrego nie będzie. Juźby nawet poszła, aby nie świecić oczyma przed ludźmi, lecz wspomniała o trzech rublach danych karbowemu i postanowiła go pilnować.

Aliści ten wyszedł za chwilę i rzekł całkiem spokojnie.

— Ano, głową muru nie przebijemy, niechże tam będzie do przyszłego tygodnia.

I z ręką w kieszeni ruszył przed kościół. Wdowie nie pozostawało nic, jak zostać na cmentarzu, gdzie się już kupiły pstre gromadki kobiet i dziewuch.

Już i proboszcz szedł wolniutko do kościoła, lecz, mijając ją, przystanął i przywoławszy do siebie, mówił:

— Nie miejże mi za złe, Magdaleno, żem was dziś odprawił, ale mi żal ciebie i żal twojego dziecka, dla którego karbowy nie będzie przyjacielem.

Wdowa uczuła się rozrzewnioną.

— O ile wiem, Józef musiał zostawić trochę grosza i to kusi Jakóba.

— Ale! dla niego właśnie chowam!

— Niewiele wskórasz, kiedy mu ten grosz sierocy bardzo zapachnie.

— A niedoczekanie jego! to Antkowe, przysięgłam tamtemu, kiedy mię prosił w ostatniej godzinie.

— Posłuchajże mnie, moja Magdaleno, i pogadaj z Pękalskim, to człowiek dobry i znał nieboszczyka Józefa, on z pewnością

uchwalającymi tym konserwatystom ich budżet. Niejasne stanowisko posłów ludowych w tak zasadniczej sprawie, jak głosowanie powszechne, próby zaskarbienia sobie względów niezdecydowanej barwy demokratów z lewicy sejmowej itp., dość szybko ochłodziły entuzyazm szczerych opozycyonistów z powodu wyboru posłów chłopskich.

Tymczasem w samym obozie ludowym, w masach jego wyborców odbywała się ewolucya znamienna: ks. Stojałowski zrywa wkrótce po wyborach 1895 r. z ludowcami i uderza w swych pisemkach w ton jaskrawie radykalny i bezwzględnie opozycyjny. Odrywa on ludowcom mnóstwo najradykalniejszych ich zwolenników, wystawiając w swym programie hasła, ponętne dla najuboższych proletaryuszów wiejskich, i odpycha przerzedzone szeregi ludowców coraz bardziej na prawo. Przed wyborami 1897 r. (do parlamentu) w obozie ludowym wzrosła walka bratobójcza pomiędzy stojałowczykami a ludowcami, która się skończyła niespodziewanem zwycięztwem pierwszych. Ludowcy zdobyli zaledwie trzy mandaty, kiedy stojałowczycy dwa razy tyle.

Ten wynik wyborów otrzeźwił ludowców, którzy powoli zaczynają odzyskiwać dawną barwę, gdy tymczasem Stojołowski płata swoim zwolennikom i całemu obozowi opozycyjnemu jeden figiel po drugim. Ze skrajnego opozycyonisty staje się nagle zwolennikiem stańczykieryi, znów powraca do opozycyi, szerzy w swych pisemkach najbezwstydniejszą demoralizacyę polityczną, rzuca się z zaciekłością na swych wczorajszych sojuszników—jednem słowem, sprawia fatalne zamieszanie w umysłach wiernych mu chłopów, prowadzi ich na manowce, oszukuje, tumani, sprzedaje itd.

Ostatnie wybory do parlamentu zaskoczyły Stojałowskiego w fazie opozycyjności — i dlatego też przepadł przy wyborach, choć pięciu jego zwolenników-chłopów weszło do Rady państwa. Ludowcy w liczbie trzech dostali się do parlamentu, ale i ich nadużycia wyborcze pozbawiły inteligentnych kierowników.

Po wyborach roku ubiegłego w obozie ludowym bez różnicy stronnictw zapanowała dążność „do zgody.“ I chłopi-stojałowczycy, i chłopi-ludowcy zaczęli nalegać na swych kierowników, ażeby ci zaprzestali waśni i połączyli obydwie partye do wspólnej walki ze wspólnym wrogiem. Stojałowski pobity przy wyborach, stał się energicznym propagatorem tej zgody i oto powstaje „zjednoczenie stronnictw ludowych“ — źródło ustawicznych przykrości i kompromitacyi dla ludowców. Przywódcy stronnictwa ludowego, znając dobrze moralną wartość „wielebnego księdza redaktora,“ podali mu rękę do zgody, pomimo że nie przestawał on pluć na wszystko, co najdroższem jest dla ludowców. Ci ostatni musieli się ocierać w komitecie „Zjednoczenia“ z takiemi indywiduami, jak osławiony dr. Włodzimierz Lewicki i jemu podobni. Na dobitkę Stojałowski, wchodząc w sojusz z ludowcami, ani na chwilę nie przestawał ich oszukiwać, kompromitując ich na każdym kroku. Skończyło się na tem, że czterech swoich posłów wprowadził do Koła, pozostawiając ich jednak w owem „Zjednoczeniu.“

Ma się rozumieć, że ta niestała, niekonsekwentna polityka kierowników obydwu stronnictw nie wyszła na dobre ani ludowcom, ani stojałowczykom. W głowach chłopów musiał w końcu powstać chaos, niepozwalający im zoryentować się w stosunkach, a co gorsza, do szeregów chłopskich wkradła się apatya. Zwłaszcza najnowszy zwrot ks. Stojałowskiego, pogodzenie się z Kolem, musi się bardzo fatalnie odbić na nastroju mas.

Wobec tego ważnem jest stanowisko, jakie zajmie stronnictwo ludowe, które na razie można uważać za jedyną opozycyjną partyę włościańską. Pewną wskazówkę daje nam świeżo odbyty kongres ludowców, na który się zgromadziło do Tarnowa przeszło 300 włościan. Masa ludowców (tak samo jak i stojałowczyków) jest usposobiona niewątpliwie bardzo opozycyjnie, nie nie chce słyszeć o wstąpieniu posłów chłopskich do Koła i pragnie walki nieprzejednanej. Niepodobna tego powiedzieć o przywódcach stronnictwa, wśród których silny jest prąd oportunistyczny. Przedstawicielami tego prądu są: były poseł dr. Winkowski i Bojko. Uwydatniło się to najwyraźniej przy roztrząsaniu najważniejszej sprawy taktycznej, kwestyi stosunku posłów ludowych do Koła.

Wiadomo, że Bojko jest za wstąpieniem do Koła, co się tłomaczy osobistym charakterem tego posła, człowieka miękiego, wprost niezdolnego do ostrej walki, chcącego wszystkich godzić, zacierać sprzeczności itd. Zapewne odgrywa tu ważną rolę i to osamotnienie, jakie czują trzej ludowi posłowie w parlamencie, gdzie im się trudno rozejrzeć w położeniu i zrozumieć skompli owaną machinę intryg zakulisowych, zwłaszcza że żaden z nich nie jest biegłym w języku niemieckim. Nie posiadając w swem gronie człowieka, któryby nimi kierował, nie chcą brać na siebie odpowiedzialności za wyniki własnej pracy. Jest to zupełnie zrozumiałe i dowodzi tylko, że najdzielniejsi włościanie, doskonale dający sobie radę w gminie i w powiecie, nie nadają się jeszcze na posłów do parlamentu. Co innego jednak, jeśli taki dr. Winkowski, który przez cały czas posłowania stwierdzał czynami, że może być dobrym posłem i rozumie swe zadanie, jeśli taki dr. Winkowski radzi wstąpić do Koła, ażeby „zjednywać dla sprawy ludowej jego członków, opowiadając im, jak się chłopom źle dzieje;“ no, to już musimy wprost podziwiać naiwność b. posła.

Ten oportunizm przywódców szczerze opozycyjnych mas ludowych jest prawdziwem przekleństwem galicyjskiego ruchu chłopskiego. Doprowadzony do rozpaczy, chłop galicyjski wybiera własnych posłów, narażając się na tysiączne szykany, na łata więzienia, ba, nawet na kule karabinowe i pchnięcia bagnetów, a tu tymczasem taki poseł, zjawiając się w sejmie, zachowuje się jak owieczka, prawi konserwatystom komplementy, i skwapliwie głosuje za budżetem. Wprost dziwić się jeszcze trzeba, że ten chłop nie popadł w ostateczną apatyę, że nie zwątpił wogóle o potrzebie walki, że wciąż jeszcze z entuzyazmem do niej się gotuje.

Zapewne najbliższe wybory wprowadzą zwiększony zastęp posłów chłopskich do sejmu. Czy i ten będzie się starał o pozyskanie względów konserwatystów, czy i ten pozwoli marszałkowi powiedzieć: „jesteśmy dumni z naszej opozycyi“?—będzie to zależało przedewszystkiem od tego, kto wogóle stanie na czele całej opozycyi sejmowej. Jeśli do sejmu wejdzie 2—3 posłów tej partyi, która dotychczas nie miała w nim żadnych przedstawicieli; jeśli zwłaszcza znajdzie się tam p. Daszyński (czego się spodziewają i na co mają nadzieję nie sami tylko jego towarzysze partyjni), opozycya ludowa, pozyskawszy innych kierowników, może zacznie odgrywać inną rolę *).

*Daleki.*

*) W liście poprzednim (nr. 28) na str. 340, szp. 1, w. 16 od dołu, zam. szkoły, winno być *kahały*; str. 340, szp. 2, w. 24 od góry, zam stanowiska — *stronnictwa*.

---

mie da skrzywdzić sieroty i na Jakóba, jako zwierzchnik, ma wpływ niemały.

Te słowa starca pocieszyły ją bardzo, więc już spokojniejsza uklękła śród kobiet w kościele i modliła się gorąco aż do skończenia nabożeństwa.

Po kościele pozdrowiła naprędce tę i ową ze znajomych i chyłkiem pobiegła do chaty, co raz to oglądając się, czy aby gdzie nie dojrzy karbowego?

Ale jego nigdzie nie było.

Mijając karczmę, usłyszała jakiś hałas, głośne śpiewanie i wyraźnie poznała ochrypły głos Jakóba.

Skoczyła ku otwartemu oknu.

Siedział rozparty na ławie w czapce na bakier, ćmiąc papierosika, pił piwo i jakichś dwóch obcych drabów częstował.

— Kuba, a chodźże, już czas do obrządku! — przypomniała mu obowiązek służby we dworze.

— Jaki mi tam obrządek! ja tam nie parobek, a do ciebie to zdążę i wieczorem — odparł ze śmiechem.

— A żeby cię!...—zaklęła wstydem zdjęta i słysząc śmiechy naokół, chyżo uciekła do chałupy.

— Matulu, ekonom byli i wołali do pani.

— O, ja nieszczęśliwa! — biadała wdowa, krzątając się po izbie i myśląc o jakiej strawie.

Ale wnet ręce jej przy tem opadły, bo się dręczyła myślą o słowach proboszcza, o trzech rublach straconych i o tej rozmowie z panią.

— Antek!

— A co, matulu?

— Weź sobie, synku, mleka i kawałek chleba, bo mi teraz nie do obiadu.

Chłopiec położył przed nią rubel papierkiem i czterdziestówkę.

— Przyniosłem tygodniowe, już mi teraz dają po czterdzieści...

— I nie strącili ci nic?

— A nie—odparł z powagą dorosłego.

— Dobrze, synku, sprawię ci na Św. Jan jaką czapczynę, bo ci się już patrzy.

— Czapka przyda się na zimę, a teraz to sobie uplotę kapelusz za darmo.

— Umiesz ty, dziecko?

— Przecież, już sporządziłem jeden ogrodnikowi we dworze, to dał mi za niego książkę—odparł chłopiec z chlubą.

Dziw ją brał, skąd to chłopię ma zdatność do wszystkiego. Prawda, że i ojciec był taki sam. Rzucił przewoźnictwo i jął się siekiery a dłuta i wkrótce nie było nad niego lepszego robotnika na okolicę. Brano go też chętnie i płacono dobrze, a grosz gęsto padał do skrzynki, choć nie żałowali sobie na jadło i szmaty, bo z tych swoich dwóch morgów to mieli tylko kartofle i jarzyny.

A ludzie się dziwili, że żyją sobie jakby na kolonii jakiej. I wszystko to ma teraz zmarnieć!

— O, biedneż my sieroty! — biadała Józefowa, zawodząc na przyźbie.

— Matulu!

— Czego chcesz, Antoś?

— Gospodarze już myślą o kośbie, to i namby potrzeba.

Skoczyła na to wspomnienie łąki, tak potrzebnej dla dwóch krów, a zupełnie zależnej od łaski dworu.

— Chodźmy do pani, synku!

— Narządzę sobie tatulową kosę i stanę jutro — ciągnął dalej Antek, obcierając gębę po mleku i zbierając okruszyny chleba.

Matka uczuła nowy poryw rozrzewnienia.

Ale zebrali się i poszli do dworu.

Nie puszczono ich zaraz, bo właśnie pani siedziała przy obiedzie, ale Pękalski dostrzegł ich z okna swej oficyny i wnet przywołał do siebie.

— Ty, Antek, zaczekaj w stajni, a nie zbytkuj i bądź na pogotowiu, dopóki się nie rozmówię z matką—rozporządził.

Za chwilę wyszedł z fajką na ganek i tak prawił, jakby od niechcenia:

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### NĘDZA.

Powszechnym i znamiennym objawem obecnych urządzeń bytu — jest nędza. Jaskrawo ją scharakteryzowali znakomici humaniści Zachodu i podali niewyczerpaną moc środków leczniczych, które miały zabić lub przynajmniej osłabić w wielkim organizmie bytu chorobotwórcze drobnoustroje nędzy. Pomimo jednak szlachetnych usiłowań, pomimo iż powstały całe laboratorya, przeznaczone, że tak powiem, dla bakteryologii społecznej, nie zdołano wytworzyć takich środków, któreby mogły zniszczyć same tło, sprzyjające rozwojowi i kolonizacyi bakteryi nędzy. Rozradza się ona szybko i potężnie, zakłada największe kolonie tam, gdzie najbardziej wybujała produkcya wielka.

Opisy nędzy, rozrosłej na podścielisku urządzeń bytu za granicą, zamknięto w ogromnych księgach, które mogłyby stworzyć osobny dział literatury społecznej. O naszej nędzy pisano luźnie i ogólnikowo. Znamiennych szczegółów tego dotkliwego niedomagania zebrano u nas stosunkowo bardzo mało. Obecnie dla badacza naszych urządzeń i ich wszelkich objawów przybywa garść takich szczegółów, które są tak charakterystyczne i jaskrawe, że niepodobna ich zbyć milczeniem lub wzmianką pobieżną. Zebrał je ks. Włodzimierz Kirchner w osobnej broszurze („Walka z nędzą na Bałutach, przedmieściu Łodzi"). Autor, dzięki bezpośredniej i stałej styczności z ludem, miał możność dostatecznie poznać nędzę łódzką we wszelkich postaciach. Przyjrzyjmy się szczegółom najbardziej typowym. Autor dzieli nędzę bałucką na pięć kategoryj: 1) Nędza fałszywa, wyłudzająca i marnotrawiąca wszelkie udzielone datki; 2) nędza wstrętna, niechlujna, z własnej winy, ale rzeczywista; 3) bieda w pewnych wypadkach, w razie choroby, braku pracy, często bardzo ciężka; 4) nędza prawdziwa, okropna, ale zbyt już jaskrawa i niezaradna; 5) nędza czysta, schludna, często ukryta, uczciwa i pobożna.

Widocznym objawem nędzy pierwszej kategoryi jest żebractwo, nieodłączne. Tutaj znowu jest kilka kategoryj żebractwa, aż nadto dobrze znanych powszechnie. Najbardziej wybujałą postacią tego rodzaju choroby społecznej jest żebractwo zawodowe, które u nas wszędzie się rozpanoszyło, szczególnie w ogniskach wielkich bogactw. Oto sylwetka takiej postaci: „Obdarte ubranie, strzępkami dekorowane, o stu łatach różnokolorowych. Włosy zwichrzone, zaśmiecone, twarz i szyja zczerniałe." Żebracy tacy niekiedy podobno charakteryzują swoje nogi mięsem i wątrobą, by wyglądały jak poranione nieuleczalnie! Jeden z żebraków ma dom na Bałutach. Drugi dawał za córką coś 500 rb. Od żebraków rolnicy kupują chleb, użebrany nieraz pudami, po 10 kop. za pud, jeżeli jest stary; za świeży drożej dają. Autor słyszał o wielu żebrakach, którzy mają pieniądze w banku, a nawet je wypożyczają swoim gospodarzom na duże procenty. Oszustwem posługuje się zawsze żebractwo zawodowe. Często żebracy popierają nierząd. „Wiem o córce pewnego żebraka—pisze ks. Kirchner — że ubiera się modnie jak hrabina i stale bałamuci pewnego urzędnika, który dla niej więcej niż połowę czasu i pieniędzy traci." Wielu żebraków popiera „wiarusostwo," życie na wiarę. Jeden żebrak stary, z powykręcanemi nogami, ma dwie dziewczyny na utrzymaniu.

Z opisów ks. Kirchnera widzimy, że dobroczynność, oparta na jałmużnictwie, sprzyja bardzo rozwojowi żebractwa zawodowego. „Wiele kobiet fałszywie podaje się za wdowy, tymczasem są to pospolite nierządnice i pijaczki niepoprawne... Pewnego razu z całego mieszkania, utrzymywanego przez jedną wdowę rzeczywistą, trzy kobiety nierządnice z dziećmi podały się za wdowy. „Mnóstwo także wisusów; jeden stróż, wyzyskujący nierządny zarobek swej córki i wielu innych wyrzutków moralnych wyciągało rękę po wsparcie dla lepszego jeszcze hodowania swej nędzy moralnej."

Wytworem nędzy drugiej, niechlujnej, zdaniem autora, jest pijaństwo. Do trzeciej — „pół biedy," przedewszystkiem należą stróże, mający tylko mieszkanie i dopłaty tygodniowo po 1 rb., 50 lub 25 kop.; czasem sami jeszcze muszą dopłacać za izbę zajmowaną. Wogóle do tej kategoryi należą ludzie, którzy za swą pracę mają tygodniowo 2—3 rubli i z tego muszą utrzymywać liczną dziatwę. Często brak im sprzętów najniezbędniejszych: jedno łóżko na pięć osób. „W łóżku śpi matka, obok niej jedno dziecko, w nogach — dwoje. Na barłogu zaś, bez słomy, na łachmanach, na wilgotnej podłodze, śpi ojciec, przykryty cuchnącymi gałganami. Czasami znów na łóżku rodzice, a na sienniku pod gałganami, pod jakąś lekką chustką kilkoro dzieci razem skulonych. „Niby nie są ci ludzie w ostatniej nędzy, bo mają co jeść, ale jeszcze nieraz w gorszem znajdują się położeniu od ostatnich nędzarzy, bo ten zarobek marny, jaki posiadają, odbiera im śmiałość i poniekąd prawo proszenia o wsparcie."

Do takiej nędzy należą również wdowy-praczki z dwojgiem i trojgiem dzieci. Czasami na całą taką wdowią rodzinę pracuje syn lub córka. „Skończywszy 15 lat, dostaje się któreś z nich gdzieś do roboty. Ale niehygieniczna często praca, brak dobrej, pożywnej strawy, ciepłego ubrania, wygodnego spoczynku i suchego, opalonego mieszkania, niszczy wkrótce jego wątłe siły i wynosi na cmentarz ostatnią podporę matki-wdowy.

Choroba jedynego dostarczyciela środków istnienia wtrąca odrazu całą rodzinę w nędzę nieopisaną. Wielu mężczyzn, głównie starszych, choruje na astmę, co im bardzo utrudnia zarobek. Młode kobiety wycieńczone są chorobami serca i płuc lub cierpieniami kobiecemi. Pracują ciężko aż do ostatecznej ruiny fizycznej. Małe dzieci swojemi chorobami przyczyniają się do strasznej nędzy. W niektórych domach podczas zimy nieraz choruje odrazu cała dziatwa. „Kiedyś — pisze ks. Kirchner — do trojga dzieci chorych jednych rodziców pojechałem z Sakramentem świętym. Zastałem w mieszkaniu na jednem łóżku dwoje, na drugiem jedno; dwu chłopców chorych na ospę, a dziewczyna pewnie na tyfus. Głównie wzbudzało żal i odrazę małe, szczupłe, wychudłe dziewczątko o żółtej cerze. Zbolałe biedactwo ani ruszyć się nie pozwalało, jęcząc żałośnie za każdem dotknięciem. Robactwo aż się roiło na jej głowie i pełzało po szyi."

Czasami znów, kiedy matka zachoruje a ojciec musi iść do pracy, dzieci same zostają i nikogo niema, ktoby dojrzał chorej. „Wtedy nieraz o głodzie i chłodzie leży przez kilka tygodni, często bez pomocy lekarskiej, wyschnie jak szczapa, wytli się powoli i umrze, pozostawiając w biedzie sieroty."

Oto parę przykładów nędzy czwartej kategoryi: „Przyjeżdżam raz do chorej —

---

— Chłopak ci teraz nie potrzebny w chałupie, kiedy bierzesz sobie stałego parobka, więc go chcę do służby we dworze, nauczy się tu trochę przy ogrodniku, a co ważniejsza, nie będzie wam przeszkodą w chałupie i solą w oku ojczyma.

Józefowa niby potakiwała, trochę zakłopotana.

— A jakże tam będzie z łąką? boć powiem ci, kobieto, że teraz to i nieładnieby było brać ją za darmo od dworu, a i nam jest potrzebna, gdyż od Św. Jana prom odbierzemy żydowi i po staremu tam osadzimy swojego człowieka.

Józefowa aż pobladła, słysząc o tych projektach.

— Niechże się też pan zmiłuje nademną sierotą.

Ekonom żachnął się niecierpliwie.

— Wstydziłabyś się, Magdaleno! Masz chałupę, cztery morgi ładnego ogrodu, weźmiecie krom tego ordynaryę i pensyę i jeszcze wam mało?

— Czemże krowy pokarmię? — lamentowała.

— Nie grzesz, kobieto! to, co sprzedacie z połączonego ogrodu starczy na wszystko, a zresztą karbowy może trzymać jedną krowę z cielęciem na dworskiej oborze.

— A kiedy nawet niema tej krowy.

— To już nie moja wina; więc bierze pieniędzmi

— Wszystko idzie do Szmula—skarżyła się cicho.

— Wiem ci i ja coś o tem, że chłop jest utratny, a nawet ci powiem, że z tą jego służbą rzecz niepewna, bo się coraz więcej opuszcza. Pani jest dobra i ja tam wiele mogę darować, ale nie mogę pozwolić na zły przykład, lub robić za Kubę. Oto i dziś, nie stanął na południe i pewnie hula w karczmie.

— A bo i prawda, panie.

— No, widzisz, radzę ci przeto, weź go dobrze w garść, albo i całkiem zaniechaj, jeśli nie masz wiele serca dla niego.

— Ja tam na chłopa nie łasa! Przyczepił się, więc jakże go zbędę, gdy mam go ciągle pod bokiem, a grozi mi i ludzką obmowę na mnie sprowadza.

— Hm!.. rada trudna. Powiedz mi, czy nie lepiej by ci było spłacić mu te dwa morgi i pół chałupy z obejściem i w ten sposób pozbyć się go raz na zawsze, a być panią u siebie?

Józefowa pokiwała głową z powątpiewaniem.

— Przynajmniej zabezpieczysz Antkowi, co mu po ojcu się należy, a gotowy grosz prędko się rozejdzie.

— Ojl idzie też, idzie—biadała.

Na tem rozmowa się skończyła.

Różne sprzeczne myśli kołatały się po głowie babiny. Raz jej się zdawało, że ekonom zawziął się na nią i na Jakóba, to znowu, że ona, matka, chce jakąś wielką krzywdę wyrządzić swemu jedynemu dziecku.

I siedziała tak zbiedzona i niepewna, co czynić, gdy ją przywołano przed panią.

— Antek, gdzieżeś ty zatracony?—obejrzała się za chłopcem niespokojnie.

Właśnie z przed stajni ruszył ni to wózek, ni to koszyk biały, a błyszczący, w parę kuców zaprzężony, a za nim chłopiec podążył przed ganek.

Wyszła panienka z guwernantką, wsiadły do wózka obie, a Antkowi kazały stanąć z tyłu na stopniu.

Chłopiec usłuchał i pojechali.

Serce matki boleśnie się ścisnęło, bo jej się zdało, że zabrali jej chłopca bezpowrotnie.

Kiedy stanęła przed panią, jęła zaraz prosić i płakać.

— Pani wielmożna, a cóż mi za życie będzie bez dziecka w chałupie?

Pani dobrotliwie się uśmiechnęła.

— Moja Józefowo, za mąż idziesz podobno, więc myślałam, że ci to będzie dogodnem.

Wtedy się zawstydziła niezmiernie, bo

pisze ks. Kirchner.—„Wiodą nas właściwie do chlewka, bez okna, tylko z dziurą odkrytą na wiatr i niepogodę; a było to w kwietniu. Podłogi niema, lecz mokry piasek. Przy jednej ścianie stoi łóżko; w niem pod pierzyną pół-zwierzę, pół-człowiek, kobieta-matka, obłąkana. Dzieci drobnych dwoje, mąż bez roboty, nędzą bez wyjścia przybity i ogłupiały.“ Drugi obrazek: Izba niewielka, brudna, zawieszona łachmanami. „Na środku stoi kotlinka żelazna, pod którą licho pali się węgiel. Na jednej z fajerek mieści się żelazny garnek z kartoflami, na drugiej trzyma nogi maleńki chłopaczek, siedząc obok na stołku. Przy blasze skłonna kobieta, która dopiero co zwlokła się z łóżka, chora na tyfus. Naprzeciwko niej stoi i razem z nią skrobie kartofle mąż, stary już i siwy. W kącie jedno łóżko, zarzucone rozmaitymi łachmanami, poduszką i pierzyną. Wszystko to jakby z nieczystego miejsca wyjęte, żółtego, sinawego i szarego koloru. Z pod pierzyny wyglądają z przeciwnych sobie stron dwie twarze. Jedna wychudzona, dziewczynki chorej na tyfus, a druga dziecka dotkniętego ospą. Wszędzie widać nieład okropny. Żona chora nie może uprzątnąć biedy należycie, mąż zaś, niedołężny, stróż, zajęty zamiataniem podwórza „za co zresztą ma tylko 25 kop. tygodniowo, nie potrafi się uporać z niechlujstwem i nędzą.“

Trzeci przykład: Na poddaszu w maleńkiej izdebce, mieści się żebrak ślepy, z żoną i kilkorgiem dzieci. Nie chodzi po prośbie, bo zimno i gniewają się ludzie, gdy się otwiera mieszkanie i mróz im wpuszcza. Żona się kiedyś oberwała i do cięższej roboty niezdolna. Dzieci chorowały prawie wszystkie na ospę, jedno umarło. W tym samym domu mieszka inna rodzina. Mąż przez długi czas był bez roboty. Dzieci czworo, wszystkie chorowały na ospę, jedno umarło, dwoje jeszcze całe ospeccone leżą w brudach. Wszędzie znać straszną nędzę; ogromny brak bielizny, obuwia, pościeli. Żona zszywa pończochy, za tuzin ma 2½ kop. od Żyda. Pracując od godziny 5 rano do 10 wieczorem, zrobi trzy tuziny. Mąż pracuje u Żyda w fabryce wody sodowej, zarabia 2 rb. tygodniowo na 6 osób, a samo mieszkanie kosztuje pół rubla na tydzień. Gdzieindziej matka poszła prać Żydom brudną bieliznę, od której aż skóra do krwi schodzi. Pranie takie za utrzymanie i 40 kop. dziennie zdarza się jej raz na tydzień. Starsza dziewczyna 14-letnia pierze. Oprócz tego jest jeszcze troje dzieci, jedno całe owrzodziałe. Dwa łóżka na sześć osób. Pewnego razu jeden mężczyzna, ślusarz, prosił księdza K. o doktora do swej chorej żony. Doktór powróciwszy prawie ze łzami w oczach opowiadał o strasznej tam nędzy: Żona ciężko chora z głodu, dziecko przy piersiach wyschnięte, jak drewno. Kilkoro dzieci starszych tak samo! Żona leżała na słomie. Łóżka nawet w domu nie było.

Wogóle śród nędzarzy łódzkich widoczny jest brak bielizny, odzieży i obuwia. Dzieci chodzą często bez koszul, w lekkich perkalowych sukienkach, boso, z popuchniętemi od mrozu nogami.

Z nędzą materyalną idzie zawsze w parze moralna: „Rodzice sami nakazują swym dzieciom różnej płci i nieraz już dorastającym albo dorosłym, sypiać razem i narażać się na straszne występki kazirodztwa...“ „Spotyka się też często otwartą, tryumfującą i haniebną wszeteczność; wobec matki np. uprawiany nierząd. Gdy się matka w takich razach obudzi i czyni swej córce wymówki, ta się zrywa, bije ją i przeklina, albo częstuje ją samą nierządem. Rodzice często korzystają z zarobkowania swych córek nierządem.

Pomijamy wiele innych jaskrawych opisów, które stwierdzają istnienie w Łodzi nędzy trwałej i głęboko zakorzenionej. To samo zjawisko daje się zauważyć również w innych ogniskach życia. Ks. Kirchner przyczynę nędzy widzi w próżniactwie, w poszukiwaniu lekkiego chleba, w pijaństwie, złym charakterze pracownika, niedbalstwie, braku sprytu, łatwem zepsuciu itd. Jako środki zaradcze zaleca: skasowanie jałmużny, natomiast stworzenie takiej instytucyi dobroczynnej, „która wszystką nędzę przytuli, każdej da wsparcie, ale w formie jakiegokolwiek zarobku, uszlachetni ją dozorem moralnym i wyzyska wszystko dobre, co się dziś niszczy w warunkach bezradnych.“ Taką instytucyą mają być domy zarobkowe. Domy takie, jak wiadomo, istnieją za granicą w znacznej liczbie; u nas są także, ale bardzo nieliczne. Łagodzą one niewątpliwie nędzę do pewnego stopnia, ale nigdy jej nie usuną i zawsze będą tylko środkiem zmniejszającym dolegliwości społeczne.

Bądź co bądź jednak, wykazywanie tej nędzy w ten sposób, w jaki to uczynił ks. Kirchner, jest bardzo pożądane, wytwarza się bowiem śród ogółu wrażliwość na niedolę i cierpienia społeczeństwa.

*Zen. Fiet.*

## PRACA ZAWODOWA KOBIET A MAŁŻEŃSTWO.

### II.

W poprzednim artykule widzieliśmy, jak odbył się *exodus* kobiecy z niewoli egipskiej stosunków patryarchalnych, bezczynności i próżni życiowej do ziemi obiecanej pracy i samodzielności. Widzieliśmy nadto, iż w tem wychodźtwie wzięła udział w Niemczech aż trzecia część ogółu kobiecego i że w bliskiej przyszłości te zastępy emancypacyjne prawdopodobnie wzrosną. Dalej przekonaliśmy się, iż przeszło $^2/_3$ wszystkich pracujących kobiet wcześniej czy później rozstaje się ze swym zawodem, aby poświęcić się obowiązkom własnej rodziny. Pozostaje jednak 2 miliony kobiet, które utrzymując pracą własną rodzinę, muszą pełnić jednocześnie czynności związane ze stanowiskiem matki i żony. Zachodzi pytanie, jaki byt wiodą kobiety te, wciśnięte pomiędzy Scyllę i Charybdę dwu ciężkich posterunków, w jaki sposób potrafią prowadzić walkę na dwa fronty? Wszak droga życiowa samodzielnej kobiety porosła już i bez tego cierniami upokorzeń i wyzysku. Jest to dla ekonomii politycznej pewnik niezaprzeczony, iż warunki pracy kobiecej są bez porównania gorsze i cięższe, niż dla mężczyzny, że w większości wypadków potulność kobiety i możność jej wyzyskiwania służy za przynętę dla jej chlebodawców. Prasa kobieca opowiada nam wołające o pomstę do nieba rzeczy o tem, jak się traktuje pracowników niewieścich. Jakie koleje przechodzi kobieta inteligentna, która toruje sobie drogę do profesyi wyzwolonej, o tem również zbytecznem byłoby mi opowiadać. A teraz pomyślmy, że te oto pomiatane i dręczone istoty, krocząc skrwawionemi stopami po swej drodze krzyżowej, muszą jednocześnie uginać się pod brzemieniem obowiązków rodzinnych. Jakże dają one sobie radę z tem karkołomnem zadaniem? Ażeby dać odpowiedź na powyższe pytanie, musimy przedewszystkiem zwrócić się do mniej lub więcej wiarogodnych źródeł. Niestety, dla całej interesującej tu nas grupy nie posiadamy wiadomości tego rodzaju, ale za to dla dwu ważniejszych jej odłamów, a mianowicie mężatek pracujących w fabrykach, a następnie zamężnych przedstawicielek zawodów wolnych. Losem zamężnych pra-

---

i pani była wdową od lat kilku, a zresztą domyślała się, że ze swoim Kubą nie ma się tak bardzo czem chwalić.

— Jeszcze to tam wiele o tem gadać — odrzekła pokornie.

— Nie moja to rzecz, zrobisz, jak ci wypadnie, co zaś do Antka, namyśl się, moja kochana, on tu krzywdy mieć nie będzie we dworze, a za lat parę, gdy podrośnie, może mu oddam przewóz, jak to zdawna było za jego dziadów.

— To już i żyda przy promie nie będzie?

— A nie, bo i karczmy wkrótce nie stanie, więc rada będę pozbyć się go na zawsze.

— To możeby Jakób, proszę łaski wielmożnej pani?—przypadła Józefowa z prośbą i błaganiem do kolan pani.

— Tego zrobić nie mogę, gdyż Jakób nie należy do trzeźwych, tymczasem będzie tam czuwał stary mój Szymon, któremu w stajni już za ciężko.

— Józefowa skręciła się, niby robak zdeptany. Wtedy uczuła straszny gniew na Kubę, który tam sobie hulał w karczmisku za jej pieniądze, a ona tu, biedna, stoi bez porady i najeść się musi wstydu za niego.

— Jakże będzie z łąką? —nieśmiało zapytała.

— To rozstrzygnie Pękalski; co zaś do Antka, damy mu tu wszystko, abyś nie potrzebowała nic dla niego dokładać.

Pani była najmocniej przekonana, że wyświadcza Józefowej wielką łaskę. Tymczasem ona, lubo zmartwiona i przybita, rozumiała tę sprawę całkiem inaczej. Podług swojego rachunku traciła pomoc chłopca, jego zarobek w gotowiźnie i łąkę, natomiast miała zyskać Kubę, który ją również tylko o straty mógł przyprawić.

Więc nic dziw, że aż pociła się, stojąc przed panią, gdy ta nalegała.

— Jakże więc będzie, Józefowo?

— A niech będzie, jak wielmożna pani postanowi—odpowiedziała wreszcie i zaraz potem pożegnała dziedziczkę.

Rada była nawet z siebie, gdyż nie zobowiązując się do niczego, wszystko do czasu zostawiła na łasce pani, z czem oczywiście nie mogło być źle.

Nie chciała już czekać na Antka, ale poszła do domu ogrodami, chcąc uniknąć przykrego przejścia koło karczmy.

Jakoż słychać było już zdala stamtąd idący pogwar głosów i głośne okrzyki, przeplatane wybuchami śmiechu.

Zrzuciwszy świąteczne obleczenie jęła się wieczornych porządków koło krów, trzody i drobiu, poczem roznieciła ogień i pomyślała o wieczerzy.

A karbowego jak niema, tak niema!

Przybiegł Antek zdyszany i chwalił się w te pędy.

— A to mi, matulu, panienka kazali żydowi duchem szyć liberyę.

Omal go nie trąciła za to rynką po łbie.

— Tak ci pilno od matki z chałupy?

Chłopiec zasępił się widocznie.

— Pójdę nad rzekę, matulu—szepnął po chwili.

A cóż tam masz do roboty, obwiesiu?

— Karbowy zaraz przyjdą... — szepnął trwożliwie.

— Niech spróbuje! Siedź głupi, zaraz dostaniesz kolacyę.

Chłopiec był posłuszny. Wyszedł tylko, ażeby zapędzić krowy i trzodę do chlewa, poczem przynęcił kury na strych po drabinie i usiadł spokojnie na przyźbie.

Za chwilę matka przyniosła barszcz i ziemniaki suto okraszone i jedli tak sobie we dwoje, aż do sytości, gwarząc z cicha o codziennych sprawach.

Dziecko przybierało głos i ruchy starszego, a matka mimowoli zwierzała się przed nim ze swych trosk.

— Mógłby taki Szymon u nas zamieszkać, bo wiem, że niema nijakiej rodziny, tobyś się przykładał pod jego okiem do przewozu, a potem mógłbyś już sam dać sobie radę.

cownic fabrycznych zajęła się między innemi kwestyami niemiecka przeszłoroczna ankieta urzędowa, z której zdawaliśmy w swoim czasie sprawę na łamach *Prawdy*. Ankieta owa roztoczyła przed ogółem obraz Dantejskiego piekła nędzy i rozpaczy. W obchodzącej nas sprawie znajdujemy również dane ponurej treści. Gdzie gospodyni domu idzie do fabryki na robotę, tam rozluźniają się wszystkie więzy, łączące członków rodziny. W tych właśnie rodzinach mężowie najczęściej zaglądają do szynków i knajp. Dzieci, pozbawione nadzoru, dziczeją moralnie i częściej, niż w innych razach podlegają wypadkom nieszczęśliwym i kalectwu. Córki, nie nauczywszy się od matki gospodarstwa, po ukończeniu szkoły elementarnej wstępują, śladem matki, odrazu do fabryki. Tak w pobieżnym szkicu wygląda odwrotna strona medalu, tak się przedstawia życie rodzinne robotnicy zamężnej.

Bardziej może zabarwione podmiotowo, mamy dane również co do innej warstwy kobiecej, prawdziwej śmietanki obozu niewieściego zarówno pod względem umysłowym, jak i moralnym. O tem, że profesya liberalna nie sprzyja macierzyństwu, słyszeliśmy już tyle razy aż do znudzenia i to przeważnie z ust przeciwników emancypacyi. Należało twierdzenia te poprzeć faktami. Zadania tego podjęły się dwie bardzo utalentowane i sympatyczne bojowniczki emancypacyi, pp. H. Simon i A. Gerhard w wydanej niedawno obszernej i sumiennej pracy p. t. „Mutterschaft und geisige Arbeit" (Berlin, 1901). Autorki w sposób dwojaki wzięły się do rzeczy: poporwsze sięgnęły do historyi i zrobiły przegląd biograficzny wszystkich słynnych kobiet zamężnych, które pracowały na tem lub innem polu ducha ludzkiego. Nie brak tam ani jednej gałęzi umysłowej, przyczem w kwestyach dotyczących trudności zawodowych posiłkują się w sposób gruntowny wynikami nauki współczesnej. Dzieło pod tym względem może posłużyć za wzór erudycyi i sumiennej monografii. Następnie autorki sporządziły na swój temat ankietę, w której wzięły udział największe powagi świata. I pod tym względem panie Simon i Gerharb, znane zresztą z licznych rozpraw doskonałych, społeczno-politycznych, wywiązały się w sposób bezprzykładny ze swego zadania.

Odtwarzając życie pionierek emancypacyi, autorki dały nam bogatą galeryę charakterów kobiecych, zaczynając od Izabeli Andrein w XVI w., aż do znakomitości najnowszych czasów. Malują one nacechowane wzniosłem bohaterstwem i tragizmem portrety takich niewiast, jak Ristori, Klara Szuman, Sonia Kowalewska, Mory Wolletonecraft, wszędzie zaznaczając miażdżący i niweczący wpływ zatargu pomiędzy Ikarowymi wzlotami a obowiązkami rodzinnymi. Nawet odpowiedzi otrzymane od rozmaitych profesyj wolnych, brzmią bardzo smutno. Po zużytkowaniu olbrzymiego materyału historycznego, psychologicznego, socyologicznego i medycznego, przytoczywszy fakty z pamiętników, listów i osobistych wyznań, powoławszy się na wyniki rozmaitych nauk, autorki przychodzą do wniosku, „iż w większości zarobków pomiędzy twórczością umysłową a treścią (pełnią) życia kobiecego zachodzi zatarg." Co prawda, nie cały arsenał dowodowy popiera ten wniosek. Przytoczę chociażby słowa słynnej aktorki Ristori: „Jedno ze swych dzieci uspakajałam zwykle podczas przedstawień teatralnych. Kołyska stała w mej garderobie, a pomiędzy scenami odgrywanemi wypełniałam swe obowiązki macierzyńskie. Doświadczenie wykazało, że ani sztuka, ani dziecko nie ucierpiały. Artystka może posiadać serce dość szerokie dla obydwu, a nawet dla innych jeszcze uczuć." Można byłoby przytoczyć przykłady, daleko wymowniejsze nawet, innych jeszcze kobiet współczesnych, ale nie o to nam chodzi. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż przy obecnych warunkach w większości wypadków zdania autorek zgadzają się z rzeczywistością. Oprócz tego przeszłość literacka i pokrój autorek ostatniego dzieła budzą nieograniczone zaufanie. Nikt zresztą nie odważył się dotychczas zaprzeczyć bezwzględnie słuszności ich wywodów.

A teraz nastręcza się najtrudniejsze pytanie: co począć? Zdaniem autorek, z tego stanu rzeczy niema absolutnie wyjścia, gdyż zarówno ucisk kobiety, jak stłumienie jej duchowej twórczości grozi niebezpieczeństwem tak dla ogółu, jak i jednostki." Nikt już dziś nie bierze na seryo tych wsteczników lub ograniczonych naiwnisiów, którzy żądają powrotu do minionej przeszłości, żadne potęgi nie powstrzymają kobiety w jej pochodzie zwycięzkim.

Niemcy mogą posłużyć tu jako najlepszy dowód. Aż do ostatnich pięciu lat stawiano ruchowi kobiecemu wszelkie tamy. Aliści powódź idei zburzyła owe tamy i posuwa się nieustannie naprzód. O ile mi wiadomo, Niemcy liczą dziś około 2 tys. studentek. Najbardziej reakcyjne państwo, najbardziej bezwzględne, niewyrozumiałe, butne i brutalne, okazało się bezsilnem wobec dziejowej konieczności. Szukać zatem rozwiązania zatargu w wyklęciu prawnem umysłowej pracy kobiecej — jest utopią. Cóż więc począć?

Podobnie przedstawia się kwestya i w innej dziedzinie pracy kobiecej. Mamy tu na myśli robotnice zamężne. I tu śmiesznem byłoby cofać się ku przeszłości, zamykając raz na zawsze podwoje fabryk dla mężatek, jakkolwiek zachodzi wielka różnica pomiędzy obozem pracownic ducha a armią roboczą. W pierwszym wypadku konieczność ruchu kobiecego polega na owych ideach, które pchają kobietę naprzód z siłą tytaniczną. Mniejsza o to, jak one powstały i na jakiem tle rozwijają się, dość że istnieją i posiadają siłę wybuchową. W drugim wypadku przeciwnie, tylko konieczność pcha kobietę do pracy. Nie z hymnem radości na ustach, nie z głową rozmarzoną, i sercem pełnem zapału bierze się ona do swego zawodu, lecz klnąc w rozpaczy swą dolę. Wspomniane wyżej poszukiwania urzędowe nie pozostawiają ani cienia wątpliwości co do tego. Ze łzami w oczach żegna ona codziennie swe dzieci, swą jedyną pociechę w życiu, spiesząc do pracy. Idąc za głosem humanitarności, należałoby zakazać tego barbarzyństwa, gdyby... gdyby można było pociągnięciem pióra zarazem wytępić nędzę, która wypędza kobietę codzień do pracy. Wzbronienie pracy mężatkom w fabrykach nie polepszyłoby ani na jotę losu tych nieszczęsnych istot, kto wie, możeby się wtrąciło je nawet w przepaść upadku moralnego. Nędzy bowiem nic nie odstrasza. I tu zatem, jak w wypadku pracy umysłowej, zakazy nic nie wskórają. Stwierdza to doskonale doświadczenie społeczne. Przed dwudziestu kilku laty sejm Rzeszy niemieckiej zabronił pracy fabrycznej niepełnoletnich dzieci. Mniemano, że w ten sposób rozwiąże się jedną z najdrażliwszych kwestyj, a dzieciństwu sielskiemu, anielskiemu, przywróci się jego prawa zabawy, szczęścia i radości. Przeszłoroczna ankieta urzędowa rozwiała te iluzye, odsłaniając bezdeń wyzysku, w którym jęczą i giną dzieci rodziców ubogich. Odciągnięte siłą zakazu prawnego od fabryki, znalazły one zatrudnienie w przemyśle domowym oraz na rozmaitych innych polach, gdzie zdala od oka władzy podlegają najbezczelniejszemu wyzyskowi, wycieńczeniu i znieprawieniu. To samo byłoby, gdyby wypędzono z fabryki kobietę, która

---

— Ja i dziś przewiozę, przecież nie raz i nie dwa próbowałem.

— Nie twojej, dzieciuchu, trzeba siły na to.

— Wydołam, matulu, aby mi jeno dali.

Oczy kobiety rozpromieniały na myśl tej pracy wspólnej.

— A cóż z kosbą, matulu? bo trawy już narosło aż tyle — pokazywał Antek brzeg kamizelki, prostując swoją figurę.

Znowu posępne zapanowało milczenie.

Już zmierzchało. Józefowa sprzątnęła naczynie i siadła ponownie przy Antku. Chłopiec jeszcze coś mruczał o sianie, o liberyi, o panience, ale w końcu oparłszy się głową o matczyne kolana, zasnął snem twardym.

W oknach karczmiska zabłysło światło, a pijany hałas biegł ciągle stamtąd lub ginął kędyś na falach rzeki.

Nagle rozległy się wrzaski i głośne przekleństwa.

— Nie daj się, Kuba! — dawały się słyszeć wesołe głosy.

— Popamiętą mnie, psia wiara!—odpowiedział ochrypły i przeplatany czkawką głos karbowego.

Niebawem powolne i ciężkie stąpanie zbliżyło się do chaty.

— Magduś! Magda! a wyjdźże, bom trochę słaby... — wołał karbowy rozkazująco.

— A zdychaj pod płotem — odparła z gniewną zaciętością.

— Czekajże, Magda! czekaj babo!—wygrażał, gramoląc się powolnie po ścieżce pod górę.

Już stał przed nią, chwiejąc się na nogach i machając rękami

— Rzekę ci, jakem chłop i karbowy: skocz mi duchem po dwie flaszki piwa do arendarza i paczkę papierosów, a ja tu chłopca poniańczę — mówił ,trącając kijkiem Antka

— Nie rusz dziecka, ty pijaku!

— Nie bój się, głupia, niech jeno trochę potańczy i pośpiewa, a ja mu grać będę — dodał ze złośliwym śmiechem.

— To sam tańcz, opoju, jakeś tańczył w karczmie, skąd cię Szmul wygnał nareszcie.

Antek już się ocknął i instyktownie tulił się do matki.

— Matulu, nie dajcie mię bić!

— Toś ty mi taka? ejże opamiętaj się, Magda, bo cię wnet wezmę w garści.

Józefowa skoczyła gniewna i jęła okładać pięściami pijaka.

— A masz! a masz! a tańczże teraz, łajdaku.

Zrazu pijany stanął groźnie do obrony, ale wnet zmógł go trunek, więc pchnięty przez wdowę, zatoczył się przed drzwi własnej połowy chaty i tam usnął, mrucząc przekleństwa i groźby.

A matka z synem wnet zamknęła się w chacie i spokojnie ułożyła do snu.

Tylko po pewnym czasie wyszła ponownie z chaty i przez chwilę nasłuchiwała chrapania karbowego.

— Dolaż moja, dola! — zcicha jęczała, lecz zmogła się wreszcie i stękając, wciągnęła go do sieni jego połowy i tam ułożyła mu pod głowę poduszkę i nakryła sukmaną.

O świcie ocknął się Kuba z ciężką głową i mglistą pamięcią ubiegłego dnia. Otrząsnął się i upokorzony ruszył natychmiast na dworskie gumno do codziennego zajęcia. Krzątał się też niezwykle gorliwie, napędzał chłopców i dziewczęta, bo mu się zdało, że w oczach wszystkich widzi niby jakiś drwiący uśmiech.

Pękalski nic mu nie rzekł, lecz patrzał nań jakoś obojętnie a badawczo.

C. d. n.).

zmuszona jest na mocy krzywdy społecznej utrzymywać rodzinę z pracy swych rąk. Utopią jest chcieć wydalić gwałtem zamężną kobietę jako obcopoddaną z kraju pracy bądź umysłowej, bądź fizycznej. Nietylko nie powinniśmy, ale wprost nie możemy na tej drodze szukać rozwiązania zatargu, który zachodzi pomiędzy stanowiskiem ekonomicznem kobiety zamężnej a jej obowiązkami rodzinnymi. Cóż tedy pozostaje? Wszak rąk składać nie należy. Lecz o tem w artykule następnym.

*Ef.*

## FEJLETON.

# PAMIĘTNIK.

### *Instynkt zachowawczy.*

Wyszła odbitka z *Ateneum* p. t. „Opieka nad umysłowo chorymi w Europie w XIX wieku", (Warszawa 1901), d-ra Karola Rychlińskiego. „Budować obszerne i ze wszech stron mocne domy dla obłąkanych, aby ucieczka z nich była niemożliwą." Tak wyglądał niegdyś w prawodawstwie instynkt zachowawczy społeczeństwa, które uwolnić się chciało od swych niebezpiecznych członków. Gdy z tą brutalną samoobroną zestawimy dzisiejszą pieczołowitość, jaką prawodawstwa zachodnie otaczają obłąkanego i jego mienie, gdy sobie uprzytomnimy całą doniosłość wymagań psychiatrów rosyjskich, którzy chcą, ażeby każdy taki zakład stanowił jednostkę administracyjnie samoistną, żeby pomieszczenie chorego w szpitalu odbywało się przy udziale władzy sądowej i przy zaświadczeniu lekarskiem (co ma miejsce na Zachodzie), mimowoli zapytujemy, kto walczył o tych nieszczęśliwców i jakie uczucie stawia ich w szeregu kwestyj społecznych? Ten sam instynkt zachowawczy. Człowiek przyszedł do wniosku, że kochać samego siebie należy nawet w szpitalu waryatów, rozszerzył więc swój instynkt i walczy o prawa upośledzonych umysłowo. Rzecz prosta, że uczucie litości i miłości bliźniego odgrywa tu w jednostkowych wystąpieniach ogromną rolę, lecz, zbiorowo rzecz traktując, musimy powiedzieć, że ludzkość nauczyła się lepiej myśleć o sobie, że z każdym dniem stara się przedłużyć swe życie i że to nie jest jej zasługą, lecz koniecznością. A jednak u nas obecnie wszystkie specyalne szpitale i przytułki nie mogłyby zadość uczynić zapotrzebowaniom jednej gub. Warszawskiej, (słowa d-ra Rychlińskiego). Autor broszury, pukając do serc naszych, powołuje do życia pierwszą kolonię dla obłąkanych. Zawiązane od listopada roku zeszłego Towarzystwo opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi, posiada pod Brwinowem 20-to morgowy grunt, przyszłe terytoryum kolonii. Członkiem Towarzystwa można być za opłatą 5 rb. rocznie. Przyjmowane są ofiary wieczyste, oraz datki jednorazowe bez praw członkowskich. *T. U.*

### *Edward Leo.*

Bardzo często znajdujemy się w nader trudnem położeniu robienia obrachunków pozgonnych z życia ludzi, którzy mieli publiczny rozgłos, a nie zostawili po sobie publicznych śladów. Do ludzi tego rodzaju należał zmarły przed kilku dniami Edward Leo. Był redaktorem *Gazety polskiej* (od r. 1874—1897), lecz ani nie nadał jej wybitnie odmiennego kierunku, ani nie pomieścił w niej żadnej swojej pracy, któraby posiadała znaczenie oryginalnego czynu literackiego lub zasługi społecznej. Uczestniczył w zarządzie kolei Wiedeńskiej, kolei Terespolskiej, Banku handlowego, Towarzystwa kredytowego m. Warszawy, warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia itd., ale wszystkie te stanowiska, zdobywane na drodze związków i stosunków z wpływowemi osobistościami naszego świata finansowego, nie były dla niego polami do odznaczenia się. Był — jak zapewniają dzienniki — człowiekiem dobrym, uczynnym, bardzo dowcipnym, ale i te jego przymioty ocenić mogli tylko ci, którzy bezpośrednio stykali się z nim w życiu. Dla nas, dla ogółu, który sądzić musi ludzi jedynie z ich czynów widocznych, był on ciągle człowiekiem prywatnym ze sławą publiczną. To też dziś, nie mogąc w braku dowodów zważyć samodzielnie jego umysłowej i moralnej wartości, musimy poprzestać na powtórzeniu zapewnienia innych pism, które żegnają w nim bardzo sympatycznego i uczciwego towarzysza.

### *Zuchwalstwo reporteryi.*

Czasy ogórkowe dlatego może odbijają się tak niekorzystnie na treści naszych pism codziennych, że sprzyjają ogromnie rozpanoszeniu się w nich reporteryi. Poważniejsi kierownicy i współpracownicy dziennika wyjadą na wypoczynek letni, a różni panowie od złamanych mostków, teatrzyków ogródkowych i baniek mydlanych, urządzają sobie tymczasom na szpaltach *Kuryerków* „kawalerską jazdę."

Świeżo jeden z nich, podpisany inicyałami K. L., znieważył w *Kuryerze Warszawskim* wszystkie młode osoby, podróżujące koleją bez opieki matek lub ciotek, nadając im obelżywą nazwę *demiwierżystek*. Dopóki taki pan, udając znawcę stosunków ekonomicznych, projektuje urządzanie wystaw lub kokietuje prawomyślną część czytelników popularnemi pieśniami, można mu jeszcze wybaczyć, wiedząc dobrze, że idzie tu tylko o zarobienie jak największej sumy kopiejek, a kiedyż się po temu nadarzy lepsza sposobność, niż właśnie w porze ogórkowej. Lecz nawet taki wzniosły cel nie usprawiedliwia chyba obelg, rzucanych, razem z podejrzanymi komplementami całej kategoryi kobiet, z których wiele z konieczności może odwykło trzymać się cudzej sukienki i wschodnich zasłon nie używa, którym jednak pod względem moralnym wielu „przewodników opinii" nawet do pięt nie dorosło z pewnością.

Sądzimy w każdym razie, że, wypłacając się pięknem za nadobne, miałyby one prawo obdarzyć dowcipnego felietonistę równowartym tytułem demi-tetnika.

*J. A. M.*

### *Szpital i hygiena.*

W chwili, kiedy to piszemy, nabywcy przystępują do burzenia starego szpitala Dzieciątka Jezus. Wiadomo, że rozbieranie gmachów odbywa się powoli, przez odejmowanie cegły za cegłą, przyczem, naturalnie, tynk pod uderzeniem młotka rozpryskuje się i napełnia wapiennym pyłem powietrze. Pył wapienny nie jest rzeczywiście przyjemnym do oddychania, ale nie zwracalibyśmy na niego uwagi, gdyby nie to, że zawiera on miliardy mikrobów. Wiadomo, że niektóre bakterye chorobotwórcze w stanie zasuszenia mogą przez długi czas, bo nawet przez kilka lat, zachowywać życie utajone i dość trochę wilgoci, aby odzyskały na nowo swe niebezpieczne własności.

Szpary w podłogach, szczeliny w murach są doskonałą dla tych wrogich nam istot siedzibą. Młotki wyrzucą je ze schronisk i rozproszą w okolicznej atmosferze, zakażając całą dzielnicę. Letnia pora sprzyja niesłychanie ich rozmnażaniu się i wegetacyi. Wobec tego, poważne niebezpieczeństwo grozić może mieszkańcom ulic, sąsiadujących z rozbieranym szpitalem, jeżeli nabywcy nie przedsięwezmą odpowiednich środków ostrożności.

Zapytujemy w imieniu interesowanych, czy zafrasowano się o nie, czy rozbierający mury zakażone uznali za właściwe skrapiać je jakim skutecznym środkiem dezynfekcyjnym przed rozrzuceniem? Jeżeli nie — należałoby to uczynić.

### *Księgarze.*

Są pewne jednostki, które gwałtownie chcą się zamianować arcykapłanami wiedzy i moralności. Narzekają na zepsucie, „nieuczciwość," na brak „ogólnego wykształcenia" — „fachowego wyuczenia" i widzą radykalny środek poprawczy tam, gdzie jego żaden *istotnie wykształcony* człowiek nie może się dopatrzyć i na coś podobnego się zgodzić. W nr. 7-ym *Książki* p. Turkul, pochwaliwszy się, iż był na kongresie księgarzy w Lipsku (a więc zapewne księgarz), zaczyna okropnie biadać ze stanowiska społecznego, że u nas księgarze nie są złączeni w korporacyę i, że wskutek tego „nie mogą się stać jednym z najcelniejszych czynników rozwoju duchowego" społeczeństwa. Syndykaty w innych krajach, nie dobro i rozwój społeczeństw mają na celu, ale samoobronę i każdy choć trochę z elementarnemi zasadami ekonomii obeznany, wie, że trusty i syndykaty nie są to środki dla odrodzenia społeczeństwa. Niemcy, których organizacyą p. T. tak się zachwyca, a w zjeździe księgarzy widzi międzynarodowe szczęście, ci Niemcy-księgarze, tak świetnie zorganizowani, nie zdołali jednak odrodzić społeczeństwa i nie przestali tysięcy hakatystycznych książek i innych niemoralnych wypuszczać na rynek.

Ciekawi jesteśmy bardzo, jaka to jest „geneza i natura" *handlu* księgarskiego, bo jak nas poucza p. Turkuł, zupełnie odrębna od handlu powszechnego i technicznego. Nam się dotąd wydawało, że każdy handel opiera się na jednakowych głównych zasadach, a naturą jego jest zarobek. Nic nie mamy przeciwko podniesieniu „wykształcenia ogólnego" pomiędzy księgarzami, by zaledwie „zawodowo wyuczeni" (!) nie mianowali się świecznikami wiedzy; nie zgadzamy się tylko na to by syndykaty i trusty były dźwignią społeczną i by społeczeństwo miało aż popierać chęci organizacyi korporacyjnej p. księgarzy i w tem widziało swój zbawczy środek. Organizacya nie może położyć tamy wydawnictwom najrozmaitszego rodzaju. Bo co według jednych będzie złem, chociażby z punktu naukowo-społecznego, według innych będzie dobrem, a na areopag księgarski zgodzić się nie możemy. Dziwi nas biadanie p. Turkuła nad „biednym, smutnym swym zawodem," wtenczas, kiedy społeczeństwo posiada tak piękną literaturę. Panowie! wypowiadajcie jasno, otwarcie swe cele i dążenia; nie okrywajcie ich płaszczykiem celów wyższych

## BADANIA NAUKOWE.

# HISTORYA.

N. Szildler: *Nikołaj I i Polsza* „Russkaja Starina" 1900 r.

(Dokończenie).

Cesarz Mikołaj wstępował na tron, rozciąwszy jeden z węzłów, przekazanych przez poprzednika. „Nie ratyfikował on — pisze autor — mglistych obietnic Aleksandra." Oczywiście nowy panujący inaczej patrzał na rzeczy, okiem człowieka czynu, który woli prawdziwą burzę od stanu napięcia przed burzą. Nie ufał nadziejom Aleksandra I, odczuwał potrochu, że sprzężony organizm może mieć swoje aspiracye duchowe, przeciw którym

kładł odrazu swe stanowcze „veto.“ Kiedyś, już po wypadkach nocy 29 listopada 1830 r., w swojej notatce własnoręcznej wypowie on to przekonanie dobitniej, stwierdzi, że stan rzeczy, przekazany przez rok 1815, jest dla Cesarstwa szkodliwym, powróci do koncepcyi Katarzyny II, do dokonania odcięcia części niestrawnej, tej „indygestyi politycznej,“ jak mawiał ks. Kołłątaj. Teraz jeszcze nie jesteśmy tak daleko, teraz rysują się dopiero fundamenty. Cesarz Mikołaj odrazu usuwał nadzieję owego rozpostarcia wewnętrznego konstytucyi, usuwał w sposób niedopuszczający żadnych dalszych złudzeń. „Polacy— pisał do brata — nie darują mi tego, ale przynajmniej cenić mię będą za moją prawość.“ Zaczynał od korpusu litewskiego. Usuwało to fundamenty z pod budowy gmachu poprzednika, znaczyło więcej, niż wszystkie razem wzięte żale z powodu oziębienia dla konstytucyi. Co się zaś tyczy samej konstytucyi, to Cesarz zamierzał być królem szczerze konstytucyjnym, tj. stanąć na gruncie taktyki swego poprzednika, która prowadziła do statutu organicznego. Ale tego nie uświadamiano sobie teraz wyraźnie, widziano przed sobą tylko szereg półśrodków, ale półśrodków na seryo. Jednym z nich miał być udział armii polskiej, w stanie rozproszkowanym, w kampanii tureckiej 1828 r. *pour fraterniser et croiser les uniformes*, jak się wyraża Cesarz. Do Królestwa wkroczyć miały gwardye. W tym samym duchu traktował nowy panujący sprawę koronacyi: miała ona być dla Królestwa powtórzeniem aktu, dokonanego już poprzednio w całej swej rozciągłości — w Moskwie.

Nowy stan rzeczy napotkał powien opór—w osobie Cesarzowicza Konstantego. Stwierdzenie tej prawdy jest niezaprzeczoną zasługą pracy gen. Szildiera. Cesarzowicza przedstawiano nam dawniej wyłącznie jako naczelnego wodza, jako jedną ze sprężyn anormalnego stosunku do konstytucyi. Wszystko to prawda niezaprzeczona, ale jest to oświetlenie trochę jednostronne, niesprawiedliwiające takiego np. faktu, jak sympatya, którą otaczali osobę Cesarzewicza byli wojskowi. Inną kartę działalności Cesarzewicza stanowi już jego udział w sejmie w charakterze posła przedmieścia Pragi. Jako poseł, mówił do swych kolegów sejmowych w roku 1830: „Mieszkając między wami przez lat piętnaście, nabyłem prawa do obywatelstwa“ (*Il est vrai que je suis quelquefois fou de tete, mais mon coeur est toujours bon*). Praca Szildiera uzasadnia szerzej słuszność tych słów. Cesarzewicz, dawniej, w r. 1814, jeden z najbardziej stanowczych przeciwników koncepcyi Aleksandra 1, w r. 1826 jest jej radykalnym niemal zwolennikiem, po jej stronie kładzie na szalę całą wagę swego wyjątkowego stanowiska, z którem nowy panujący liczyć się musiał. I to nietylko wtedy, gdy Konstanty broni przed bratem sprawy oskarżonych z r. 1826, sprawy korpusu litewskiego i koronacyi, ale i wtedy, gdy oświadcza się przeciw udziałowi armii Królestwa w kampanii r. 1828, w projektowanej wyprawie r. 1830. Odbija się to nawet na poglądach historycznych Cesarzewicza, na jego stosunku do czynów babki. Zajmuje on w tej sprawie stanowisko tak oryginalne i śmiałe, że nie pojęlibyśmy go, nie znając jego działalności sejmowej, jego wniosków zwłaszcza. Na tem stanowisku wyjątkowem trwa Cesarzewicz do zgonu; w kampanii r. 1831 staje się powodem niewyjaśnionego dotąd, a teraz tak prosto przez gen. Szildiera rozwiązanego faktu — niewyzyskania strategicznego bitwy Grochowskiej.

Bezpośredni powód do szerszego zajęcia się sprawami Królestwa dało nowemu panującemu śledztwo petersburskie z r. 1826. I tu znowu gen. Szildier usuwa jedno ze złudzeń, silnie zakorzenionych w naszej historyi, w naszej poezyi nawet. Oskarżeni poczynili w śledztwie zeznania kłamliwe, z umyślną przesadą. Stwierdził to potem warszawski komitet śledczy, stwierdził wymownie Cesarzewicz Konstanty. Zeznania te wywołały śledztwo, sąd sejmowy, a co za tem poszło — jeszcze większe ochłodzenie Cesarza Mikołaja do wytworu r. 1815. „To, co u nas — powiedział on potem —jest najwidoczniejszą zbrodnią stanu, tu znajduje obrońców. Może to najbardziej uwidocznia przepaść dzielącą nas.“ Uroczystości koronacyjne, sejm 1830 r. — nie zatarły złego wrażenia. W mowie tronowej 1830 r. nowy król po raz pierwszy poruszył sprawy polityki międzynarodowej, stwierdzając, że wojsko Królestwa było murem ochronnym Cesarstwa. Była to raczej wskazówka na przyszłość; zbyt szybki rozwój wypadków miał ją za pospiesznie urzeczywistnić, co prawda w innem znaczeniu.

Burza wyszła od Francyi, tak świeżo, tak ściśle i obiecująco związanej z polityką Cesarza Mikołaja. Cesarz przewidywał katastrofę, ostrzegał przed nią. „Gdyby w Paryżu — powiedział potem baronowi Bourgoing — tłum splądrował moją ambasadę i ogłosił papiery, to opinia francuska zdziwioną by była, widząc, jak gorąco ja, cesarz samowładny, stawałem w obronie jej konstytucyi.“ Rewolucya lipcowa burzyła świetne nadzieje wschodnie. Teraz więc, w pierwszem rozgoryczeniu, Cesarz chciał wojny, chciał ratować zasadę legitymizmu we Francyi. Powstrzymał się jednak; dopiero powstanie belgijskie przepełniło czarę. Postanowiono interweniować. Wysłano posłów nadzwyczajnych do Wiednia i Berlina. Mimo niechęci Prus do wojny, dano chłodną odprawę na list Ludwika Filipa. Cesarzewicz Konstanty i gen. Saken otrzymali rozkazy postawienia swych wojsk na stopie wojennej na dzień 22 grudnia 1830 r. Plan kampanii został wypracowany.

„W dniu 22 grudnia — pisze Cesarz do Dybicza — można będzie wystąpić w pochód z korpusem 1 i 2 litewskim, wojskiem polskiem, grenadyerami i kawaleryą rezerwową. W celu usunięcia wszelkich wątpliwości, kazałem to ogłosić w pismach.“ Miejscem koncentracyi wojsk miało być Królestwo; miało ono ponieść koszty żywienia tych wojsk, jako dłużnik skarbu Cesarstwa. Zasięgnięto poprzednio informacyj u ks. Lubeckiego, jedynego ministra Królestwa, dopuszczonego do tajemnicy.

Dybicz prowadził dalej rokowania w Berlinie, aż w d. 31 grudnia 1830 r. otrzymał od Prusaków wiadomość o nocy 29 listopada. „Awangarda — powiedział ks. Eugeniusz Wirtemberski — zrobiła zwrot w tył.“

Tak się przedstawia geneza rewolucyi. Wywołana przebłyskiem odczucia położenia wśród garści ludzi, miała ona już w drugim dniu doprowadzić do układów. Gen. Szildier dał nam ciekawy obrazek tej akcyi ugodowej, opisując słowami Cesarza Mikołaja misyę Jezierskiego i Lubeckiego. Jezierski chciał cofnąć wstecz noc listopadową, a równocześnie nie chciał brać na siebie roli Fouquier Tinville'a na jej sprawców, podsuwał ją Cesarzowi. Ze wstrętem odrzucał to cesarz, proponując inną kombinacyę. Niech się zbierze sejm, niech zatwierdzi dyktaturę Chłopickiego, niech od niego zażąda ukarania winnych. „Oddacie mi tem, panowie — mówił— dużą przysługę, bo to rola nie dla mnie; ja wolę ułaskawiać.“ Jezierski zgadzał się i na to. „Przecież pana powieszą za to w Warszawie“—rzucił mu ironicznie Cesarz. Na drugi dzień Jezierski zgłosił się do gen. Benkendorffa i podał mu inny jeszcze sposób rozwiązania sprawy: „Niech cesarz każe nam uderzyć na Galicyę i Poznańskie.“ *Ils sont tous plus ou moins malades de raison! Je ne sais l'expliquer autrement*— kończy Cesarz.

Samej kampanii r. 1831 Szildier szczegółowiej nie roztrząsa. Wyjaśnił tylko sprawę Grochowa i oddalenia Cesarzewicza od armii, podał nieznane warunki kapitulacyi Warszawy, które Cesarz przesłał Dybiczowi po Grochowie, opisał ciekawe losy niektórych wydawnictw rewolucyjnych. Reszta znaną jest z dzieła ks. Szczerbatowa.

Jeżeli dzieło Karnowicza zyskało u nas takie uznanie, to ze wszechmiar sprawiedliwiej zasługuje na nie praca gen. Szildiera. Bo jest w niej i faktów nowych dużo, i wiele nauki historycznej w sprawach, mających po dziś dzień znaczenie pierwszorzędne.

*Dr. Wacław Tokarz.*

## LITERATURA I SZTUKA.

### LITERATURA POLSKA.

Stanisław Wyspiański: *Wesele*, dramat w 3 aktach. Kraków, 1901, nakładem autora. Str. 228.

Przeklnij — lecz ciebie przepędzi ma dusza, jak Eumenida, przez wężowe rózgi. Boś ty jedyny syn Prometeusza: sęp ci wyjada nie serce— lecz mózgi. Choć muzę swoją w twojej krwi zaszargam, sięgnę do wnętrza twych trzew i zatargam.“ Zdaje mi się, że ta wstrząsająca strofa twórcy „Króla Ducha“ brzmieć musiała — nieświadomie może — gdzieś w głębi duszy Wyspiańskiego, gdy w niej, niby w mgławicy kosmicznej, zarysował się ogólny kształt i zabłysła idea przewodnia „Wesela,“ a zwłaszcza gdy poeta ujrzał po raz pierwszy w swej wyobraźni twórczej — potężne, acz przygnębiające sceny końcowe trzeciego aktu, które dosyć raz ujrzeć dobrze odegrane lub nawet przeczytać tylko, aby je zapamiętać na zawsze.

Niezwykły ten dramat, tak niepodobny do wszystkiego, co się zawsze widzi i słyszy w teatrze, cieszy się wciąż powodzeniem na obu głównych scenach galicyjskich. Świeżo ukazał on się również w wydaniu książkowem, co pozwala nam odświeżyć wrażenia, odebrane niedawno w teatrze lwowskim, i podzielić się pewną ich częścią z czytelnikami naszymi. Rzecz naturalna, że w książce „Wesele“ wywiera wogóle o wiele słabsze wrażenie, niż oglądane na scenie, z całym aparatem dekoracyj, kostiumów, żywego słowa i dźwięków muzyki, o której tylko dowiadujemy się w czytaniu, że ma być „melodyjnym dźwiękiem z polskiej gleby, bólem i rozkoszą wykołysanym, cichym a skocznym, pociągającym serce i usypiającym duszę...“ Co innego czytać pełne powagi i siły słowa Wernyhory, a co innego widzieć go na własne oczy, w czerwonej delii, ze spływającą na piersi, rozwichrzoną, białą brodą, jakby wykrojonego z obrazu Matejki, i słyszeć to, co on mówi. To samo zupełnie stosuje się i do innych fantastycznych postaci dramatu, od Stańczyka, hetmana lub krwawego upiora Szeli, aż do oryginalnego symbolu, słomianego wiechcia Chochoła, odgrywającego taką przygnębiającą rolę w akcie ostatnim. To też w dramacie tym, na scenie tylko dającym się poznać naprawdę, podziwiać należy intuicyę autora, który przez zespolenie wszystkich czynników sztuki — obrazu, słowa, muzyki — zdołał osiągnąć najwyższy stopień ideowego i uczuciowego wrażenia, potęgującego się w każdym akcie i osiągającego punkt kulminacyjny w zakończeniu.

Akt pierwszy, trochę nużący w czytaniu, mniej zajmuje od dwu następnych i na scenie, gdzie zresztą barwność i rozmaitość przesuwających się postaci utrzymuje uwagę widza w napięciu, nie pozwalając jej doznać znużenia. Nie spodziewajmy się tu tylko jakiegoś szablonowego zawiązania intrygi dramatycznej, jakiejś akcyi jednolitej, skupionej. Wyspiański zresztą w swych utworach odzwyczaił nas już dawno od szablonu. Scena przez cały czas przedstawia obszerną izbę w chacie wiejskiej. Za drzwiami jej, w izbach sąsiednich, odbywa się wiejskie wesele; na scenę dochodzą odgłosy hucznej muzyki, tupanie tancerzy, okrzyki rozbawionych chłopów i bab, gwar, wesołość. Niezwykłe to jakieś weselisko: panna młoda jest prostą wieśniaczką, mazurzącą w mowie i niezbyt subtelną w uczuciach; pan młody to „inteligent,“ człowiek wykształcony, utalentowany poeta, który się przebiera chwilowo w kierezyę krakowską i, rozkochany w świeżo zaślubionej żonie, tańczy z nią zapamiętale w izbie sąsiedniej. Na taką zabawę weselną, odbywającą się przytem w domu szwagra panny młodej, pochodzącego również ze sfery „wyższej“ artysty, malarza, zebrali się goście z warstw różnych: obok drużbów i druchen w strojach krakowskich, obok wiejskich parobków i dziewek, spotykamy się tu i z panią radczynią z siostrzenicami, i z dziennikarzem, i z księdzem, i z poetą, i z wykształconą, egzaltowaną modernistką, panną Rachelą, i z ojcem jej, zwyczajnym, chałatowym Mośkiem, z całą wogóle galeryą barwnych postaci, przesuwających się, jak w jasełkach, przez scenę lub zatrzymujących się na niej na krótki odpoczynek wśród tańca, na przelotną, urywaną rozmowę.

Niepodobna się tu wdawać w szczegóły, niepodobna streszczać blizko czterdziestu pojedyńczych scen pierwszego aktu. Barwne, charakterystyczne, pełne plastyki i wyrazu postacie ukazują się i znikają; obrazy, jak w kalejdoskopie, zmieniają się co chwila, a tam w głębi wciąż gra muzyka i, jak objaśnia sam autor, cała uwaga osób, które przez tę izbę-scenę przejdą, zwrócona jest tam, ciągle tam; zasłuchani, zapatrzeni w ten ton na polską nutę, wirujący dookoła w półświetle kuchennej lampy, taniec kolorów, krasnych wstążek, pawich piór, kierezyj, barwnych kaftanów i kabatów... Lecz od pierwszej sceny, w rozmowie spragnionego spokoju pana redaktora wielkiego dziennika („Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna...“) z chłopem Czepcem, trochę zawadyakiem, pełnym energii i buty, rwącym się do czynu, do „jakiej bijacki“ — zaznacza się wyraźnie różnica między dwiema sferami i to przekonanie „młodszej braci,“ że „panowie duzoby juz mogli mieć, ino oni nie chcom chcieć!“ Różnica uwydatnia się jeszcze bardziej, gdy na scenę wpadają „panienki,“ spragnione tylko zabawy i tańca z pięknie przybranymi drużbami i powtarzające w zachwycie: „W kółeczko, w kółeczko, raz dokoła, raz dokoła...“

Już w akcie pierwszym zarysowuje się satyryczny charakter utworu. Ostrze ironii gryzącej, przechodzące potem w bolesny sarkazm, zwrócone jest, według nas, głównie przeciw pewnej części „inteligencyi,“ z której ust nie schodzi słowo „lud,“ które jednak ducha tego ludu nie zna, potrzeb jego nie odczuwa i nie rozumie, traktując go wciąż, jako dziecko, a swój stosunek do warstw niższych — jako pewnego rodzaju sport, kaprys, zabawkę, i nie przeczuwa nawet, jakie iskry rozżarzają się tam w głębi. Lecz myśli tej nie narzuca nam bynajmniej autor w charakterze jakiejś tendencyi. Wysnuwa się ona obok wielu innych z tego szeregu zmieniających się wciąż obrazów, na które patrzymy, z tych rozmów urywkowych, które słyszymy, z całego tego wysoce artystycznego zespolenia rzeczywistości z fantazyą, stanowiącego może jedną z największych zalet „Wesela.“

Dokonywa się ono w sposób naturalny a poetyczny, niby jakaś półigraszka. Oto eteryczna panna Rachela, w jednej ze swych przelotnych rozmów z nieobojętnym jej poetą, zwraca jego uwagę na różę, owiniętą w ogrodzie przed mrozem w chochoł ze słomy i zapowiada żartem jego przyjście do izby na wesele. Zażądało jej się „poetyczności,“ więc radzi zaprosić „wszystkie dziwy, kwiaty, krzewy, pioruny, brzęczenia, śpiewy...“ Poeta podchwytuje myśl powabnej Żydówki i, żartując wciąż, żąda od panny młodej, której w tę noc weselną nic się oprzeć nie zdoła, aby (jak w drugiej części „Dziadów“) zaprosiła wszystkich tych, „którym gdzie złe wciórności dopiekają, którym źle, których bieda, piekło dręczy, których duch się strachem męczy, a do wyzwoleństwa się rwie.“ Osobne, niby uroczyste, choć przerywane wybuchami śmiechu, zaproszenie otrzymuje od młodej pary sam chochoł: „Przyjdź, chochole, na wesele, zapraszam cię ja, pan młody, wraz na gody do gospody... Skoro północ zacznie bić, do nas tu na izbę przyjdź... Sprowadź jeszcze kogo chcesz, ciesz się z nami, ciesz godami, ciesz się, ciesz!“

I oto ten pomysł poetyczny dał autorowi sposobność stworzenia w akcie drugim szeregu scen pięknych, głębokich, wywierających duże wrażenie, a przypominających nieco drugą część „Dziadów“ Mickiewicza, choć zresztą, z wyjątkiem jednego obrazu, jest to dosyć dalekie i powierzchowne tylko podobieństwo. Na upartego możnaby nawet traktować te sceny realistycznie, jako szereg halucynacyj i przywidzeń; autorowi jednak nie chodzi o to bynajmniej, woli on raczej puścić w nich całkiem wodze bogatej fantazyi poetyckiej, nie krępując się niczem.

W sąsiedniej izbie zaczyna się obrzęd oczepin, na scenie panuje półmrok. Z wybiciem północy na zegarze, młodziutkiej Isi, która koniecznie chciała doczekać się tego obrzędu, ukazuje się niespodziewanie dziwna postać słomianego Chochoła, powtarzającego monotonnym, jękliwym głosem: „Kto mnie wołał, czego chciał; ubrałem się, w com ta miał: jestem, jestem na wesele, przyjedzie tu gości wiele, żeby ino wicher wiał... *Co się w duszy komu gra, co kto w swoich widzi snach*: czy to grzech, czy to śmiech, czy to kapcan, czy to pan, na wesele przyjdzie w tan...“ Słowa Chochoła są zapowiedzią i poniekąd wyjaśnieniem scen dalszych. Więc oto najpierw zmęczonej tańcem Marysi ukazuje się tchnące zimnem grobowem widmo jej zmarłego narzeczonego. Dalej Stańczyk, jakby żywcem wyjęty z obrazu Matejkowskiego, w scenie, znanej bliżej czytelnikom naszym z odcinka *Prawdy*, z goryczą największą rzuca dziennikarzowi swe berło błazeńskie: „Naści, rządź! Masz tu kaduceus polski, mąć nim wodę, mąć!..“ Cień zakutego w czarną zbroję rycerza próbuje natchnąć mocą duszę poety, przypominając mu zarazem żywo całą słabość i nicość czczych marzycieli, dla których największym czynem jest dzisiaj — sonet lub oktawa... Dalej idą dwa najbardziej może w tym akcie przejmujące obrazy: w jednym z nich, przypominającym żywo ukazanie się w „Dziadach“ widma okrutnego dziedzica w otoczeniu ptaków drapieżnych, największy zbrodniarz ze stanu szlacheckiego, wszechwładny niegdyś hetman, zjawia się w otoczeniu naigrawających się zeń złych duchów i cierpi strasznie za zbrodnię spełnioną, rozrzucając dokoła złoto, które go dziś pali, jak ogień! W drugim — zbrodniarz z ludu, Szela, herszt band chłopskich podczas rzezi galicyjskiej, ukazuje się na scenie w zakrwawionej koszuli, cały krwią ociekający i usiłuje napróżno pozbyć się tych plam krwawych, które mu spokoju nie dają: „Dajcie, bracie, kubeł wody, ręce myć, gębę myć, suknie prać — nie bedzie znać... Chce mi się tu na weselu żyć, hulać, pić... Jeno ta plama na czole...“

Sceny fantastyczne przeplatają się z realistycznemi, w których autor nie szczędzi nawet jaskrawych barw rzeczywistości. Aż wreszcie w prześlicznej rozmowie z jednem jeszcze widmem poetyckiem, „gościem znanym, spodziewanym,“ srebrnobrodym lirnikiem Wernyhorą, sam gospodarz domu otrzymuje rozkaz rozesłania wici i zwołania ludu na wiec olbrzymi, „bratni zbór,“ otrzymuje od starca złoty róg: „Na jego rycerny głos spotężni się Duch, podejmie Los. Daję w twoje ręce róg.“ Zapala się artystyczna wyobraźnia malarza; powierza on złoty róg Wernyhory starszemu drużbie Jaśkowi, który w noc ciemną pędzi na koniu wykonywać rozkazy starca; sam artysta zrywa się również gwałtownie do czynu, rzucając w twarz zebranym gościom z miasta wyrazy gorzkiej prawdy i szyderstwa: „Wy a wy — co wy jesteście: wy się wynudzicie w mieście, to się wam do wsi zachciało. Tam wam mało, tu wam mało, a ot co z nas pozostało: lalki, szopka, podłe maski, farbowany fałsz, obrazki; niegdyś gdzieś tam tęgie pyski i do szabli, i do miski; kiedyś gdzieś tam, tęgie dusze, pół-waryackie animusze: kogoś zbawiać, kogoś siekać; dzisiaj niema na co czekać. Nastrój? Macie ot nastroje: w pysk wam mówię litość moję!“

Akt trzeci nie nadaje się również do streszczenia. Oparty on jest cały na szeregu nastrojów, które autor wywołuje w duszy widzów. Więc naprzód oburzenie na widok lekkomyślności, z jaką zbliżony do ludu przedstawiciel inteligencyi zapomina nazajutrz rano o wszystkiem, co sam był przygotował, aż mu chłop Czepiec musi groźnie przypominać obowiązek. Dalej ożywienie ogólne, gromadzenie się ludu, oczekiwanie czegoś nadzwyczajnego, cudownego i zasłuchanie zupełne w dalekie dźwięki, dochodzące z gościńca. Wreszcie kubeł sarkazmu i goryczy, wylany przez autora na głowy nasze w scenach ostatnich. Oto zmęczony, pół-żywy wpada na scenę wysłany w nocy ze złotym rogiem starszy drużba i widzi całe zebranie bez ruchu, jakby pogrążone w śnie hypnotycznym czy jakiemś oczekiwaniu cudu, zapatrzone w dal, zasłuchane. Chce je rozbudzić i ożywić dźwiękiem złotego rogu, ale go znaleźć nie może: „Kajsim zabył złoty róg, ostał mi się ino sznur...“ Za Jaśkiem wsuwa się do izby, kołyszący się, słomiany Chochoł i zaczyna swą piosenkę, przytłaczającą duszę: „Miałeś, chłopie, złoty róg, miałeś, chłopie, czapkę z piór: czapkę ze łba wicher zmiótł, ostał ci się ino sznur...“ A po chwili daje pozbawionemu niemal zmysłów Jaśkowi szereg rad czy wskazówek, które on spełnia machinalnie: „Powyjmuj im kosy z rąk, poodpasuj szable z pęt, zaraz ich odejdzie smęt. Na czołach im kółka zrób, skrzypki mi do ręki daj: ja muzykę zacznę sam, tęgo gram, tęgo gram...“ I rozpoczyna się dziwna, przejmująca muzyka słomianego straszydła, pod której wpływem zebrany tłum dzieli się na pary i ku strasznej rozpaczy Jaśka zaczyna wciąż jeszcze napół nieprzytomnie taniec tłumny, powolny, spokojny, nieustanny, któremu wtóruje tylko gra na patykach Chochoła i powtarzane bez końca: „Miałeś, chamie, złoty róg...“

Na tem skończę, nie podejmując się wcale tłomaczyć tu czytelnikowi, co oznaczają owe widma i mary, jakie znaczenie mają symbole złotego rogu i chochoła, jaką myśl zasadniczą przeprowadza poeta w swym dramacie. Każdy może tłomaczyć ją sobie po swojemu i dośpiewać w sercu zgodnie z jego tonem zasadniczym. Zasługą jest autora, że pobudził myśl i uczucie, że wywarł wrażenie silne, niepospolite.

Więc jeszcze tylko przypomnę jeden znany urywek z wiersza, skreślonego przed laty „Do autora trzech psalmów,“ który—nie wiem dlaczego — w tej chwili na myśl mi przyszedł: „Czynu, czynu... Lecz ty drżysz, gdy z ducha gminu błyśnie w ogniach twarz człowieka...“

*Wł. Bukowiński.*

## Fryderyk Henryk Amiel
(1821—1881)

(PRZYCZYNEK DO PSYCHOLOGII WSPÓŁCZESNEJ).

### III.

Główną i jedynie czynną rolę przy wytwarzaniu przekonań odgrywają nasze uczucia: one to stanowią o wyborze przez nas tego lub innego punktu widzenia, wiedza zaś nasza służy jedynie do uzasadnienia tego wyboru przed sobą samym i przed innymi. Dzieje się tak, gdy idzie o przekonanie polityczne lub społeczne, ale nie inaczej rzecz się ma z poglądami filozoficznymi, a niekiedy nawet z teoryami nauk specyalnych.

W filozofii i metafizyce główną rolę odgrywają pod tym względem najwyższe z naszych uczuć: moralne. Pojmował to już Kant, gdy pisał swoją „Krytykę praktycznego rozumu,“ zdaje sobie z tego sprawę i Amiel, który kilkakrotnie powtarza, że obowiązek jest jedyną siłą, zdolną przerwać ułudną szatę wiecznie mamiącej Mai. W samej rzeczy u człowieka o silnie rozwiniętem poczuciu obowiązku, uczucie to zajmuje w świadomości zupełnie odrębne stanowisko. Cały świat może mu się wydawać złudzeniem, czemś w rodzaju halucynacyi przymusowej, ono jedno jest czemś bezwzględnie pewnem, bo gdyby takiem nie było, straciłoby charakter obowiązku. Nic dziwnego więc, jeżeli człowiek, dostrzegłszy w tem Heraklitowskiem Πάντα ῥεῖ jakiś punkt stały i nieruchomy, chwyta się go rozpaczliwie, i na tej podstawie odbudowywa świat cały, który teraz odzyskuje dlań znów swą pewność. Takiem jest pochodzenie wszelkiej religii i wszelkiej metafizyki. Niezbędnym warunkiem wszakże powstania obydwóch jest, aby uczucie obowiązku było możliwie jasnem i określonem; w przeciwnym bowiem razie uczucia zbyt liczne i różnorodne paraliżować się będą i unicestwiać wzajemnie. Żadne z nich nie pozyska dostatecznej siły aby zawładnąć całą duszą człowieka, żadne z nich nie będzie dostatecznie trwałem aby zmusić go do widzenia wszystkiego jedynie przez pryzmat własnego sumienia. W pewnych chwilach ta lub inna myśl filozoficzna albo religijna pociągać go będzie ku sobie, będzie on mógł odczuć i zrozumieć nader wiele takich myśli; ale i tu pozostanie on tułaczem, który wchodzi wszędzie, nigdzie jednak nie mieszka. Jednocześnie ta trzeźwość jego pośród ogólnego zaślepienia, za którem tęskni nieraz i ku któremu wyrywa się cała jego dusza w chwilach niepokoju i trwogi, otwiera mu oczy na sam mechanizm powstawania wierzeń, których brak nęka go i przez to samo brak ten staje się jeszcze bardziej nieuleczalnym; zarazem czuje on, że bez wierzeń tych żyć jest ciężko, prawie niepodobna.

„W istocie powiada Amiel (II 90—92), obecność lub brak w duszy tego jednego pierwiastku, nadziei, odmienia wszystko. Cała działalność człowieka, wszystkie jego usiłowania, wszystkie zamiary i przedsięwzięcia wymagają, aby miał on nadzieję osiągnięcia jakiegoś celu. Z chwilą, gdy nadzieja ta zamiera i rozchwiewa się, wszelka działalność i wszelki ruch stają się czemś bezmyślnem, jak bezmyślnymi są spazmatyczne i konwulsyjne ruchy człowieka spadającego ze znacznej wysokości. Rzucanie się bezmyślne wobec czegoś, co jest nieuchronnem i koniecznem, ma w sobie coś dziwnie śmiesznego. Błagać siłę ciążenia, aby zawiesiła chociaż na chwilę swą działalność—byłoby modlitwą co najmniej dziwaczną. To też całkowity brak złudzeń byłby unieruchomieniem, bezczynnością bezwzględną. Ten, kto odcyfrował zagadkę życia, kto odczytał słowo tajemnicy wszelkiego istnienia, ten wymyka się z wielkiego życiowego deptaka, nie należy już do świata żyjących... Może na tem właśnie polegało znaczenie rozpowszechnionego u starożytnych mniemania, że uchylenie zasłony Izydy, że jedno spojrzenie okiem w oko bóstwa zabija. Egipt i Judea stwierdziły ten fakt, Buddha dał jego wyjaśnienie: życie osobnika jest nicością, która się nie zna; z chwilą, gdy przeniknie samą siebie, życie podcięte już jest w swoim korzeniu. Gdzie złudzenie znika, tam pęka różnobarwna bańka mydlana, zawieszona w nieograniczonej przestrzeni, tam odwieczna nicość wchodzi nanowo w swe prawa, wiedza, myśli i uczucia rozpływają się w niej, wielkiej spokojnej i niezamąconej. Gdyby absolut był duchem, jedyną właściwą formą jego istnienia byłaby działalność; ta zaś wymaga pożądania, które sprzeczne jest z samą istotą absolutu. Jedyną więc formą bytowania dostępną temu ostatniemu, jest nicość.“ — Mogłoby się wydawać, że jest to wyjątek z Schopenhauera, a takich ustępów nie brak u Amiela; usprawiedliwia to wspomniane przeze mnie mniemanie, które w autorze „Dziennika“ widzi jedynie przedstawiciela wszechświatowego smutku.

Z takiego punktu widzenia, na jakim stoi tu Amiel, całe życie ludzkie, ze zgiełkiem i gwarem, z walkami w imię postępu lub zachowania istniejącego porządku rzeczy,—przedstawia się w nowem zupełnie świetle: patrzy się na nie wtedy jakby szklistem, spokojnem okiem umarłych; wydaje się ono jednym niezmiernym, bezmyślnym i bezużytecznym „gestem w próżnię:“ Amielowi jest też nieswojsko nieraz wśród ruchliwej i hałaśliwej Europy zachodniej: pociąga go ku sobie Azya,—ta ojczyzna spokojnej i zatopionej w sobie kontemplacyi.

„Wschód —pisze on (I. 222—124) — oddaje pierwszeństwo bezruchowi, jako jednej z form przybieranych przez nieskończoność; Zachód zaś woli ruch i ciągłą zmianę. Włada nim namiętne przywiązanie do szczegółów, do rozmaitości i do wartości osobistej. Jest on, jak dziecko, które zmieniwszy posiadane pieniądze na drobną monetę, uważa się za bogatsze, niż przedtem. Miłość postępu jest w gruncie rzeczy zaślepieniem, polegającem na tem, że drobne kroki i kroczki, czynione jeden po drugim, każą nam zapomnieć o celu całej tej drogi. Człowiek zachodni w samej już zmianie widzi nieraz udoskonalenie. W głębi duszy człowieka nowoczesnego tkwi tajemny strach przed tem wszystkiem, co mogłoby go zmniejszyć we własnych oczach; dlatego też nieskończoność, wieczność i doskonałość przestraszają go; czuje on potrzebę być ciągle z samego siebie zadowolonym, módz czem się pysznić, czegoś sobie winszować. W tem właśnie leży źródło małostkowości wielu potężnych umysłów, braku godności osobistej, cechującej nas, ludzi cywilizowanych w porównaniu z Arabem pustyni, czczości wewnętrznej, naszych tłumów coraz to bardziej oświeconych, lecz także coraz powierzchowniejszych w swem pojęciu szczęścia. Na tem to polega największa zasługa chrześciaństwa, które jest jedynym pierwiastkiem wschodnim naszej kultury. Chrześciaństwo przeciwważa nasze skłonności, pociągające nas ku wszystkiemu, co jest ograniczone, zmienne, nietrwałe, skupiając nasz umysł w rozmyślaniach o rzeczach wiekuistych, platonizuje ono choć trochę nasze upodobania, tak obce zazwyczaj światu idealnemu.“

Cóż pozostaje jednak uczynić człowiekowi, który niebacznie zajrzał po za zasłonę Izydy? Odpowiedzią Amiela jest — rezygnacya: „Sceptycyzm jest może najrozumniejszem stanowiskiem, ale, wyzwalając nas od błędu, zabija on życie. Dojrzałość umysłu polega, być może, na tem, ażeby dobrowolnie brać udział w przymusowej grze życia, zachowując pozory kogoś, co grę tę traktuje poważnie. Taka dobrowolna rezygnacya, uzupełniona przez lekki uśmiech ironii, zachowuje nam przynajmniej pozory swobody... Kto wpadł już w potrzask życia, powinien los swój znosić pogodnie; opór nie prowadzi do niczego, a co najwyżej—do szaleństwa, jeżeli już odmawiamy sobie samobójstwa. Rezygnacya pełna pokory—czyli stanowisko religii — lub też pogodne rozczarowanie z pewną domieszką ironii — oto jedyne dwa wyjścia.“ (II 162—163) Renan, Merimée i wielu innych wybrali ostatnie. Amiel skłaniał się raczej ku pierwszemu. W dzienniku jego napotykamy wiele kart, nacechowanych duchem najbardziej chrześcijańskiej pokory. Pokora ta jest tem bardziej ujmującą, że nie śmiał on nawet nazwać Opatrznością tej tajemniczej potęgi, której się poddawał. Stronice te powinny zjednać Amielowi uznanie dusz prawdziwie religijnych.

Duszą taką szczerze i głęboko religijną był niewątpliwie sam Amiel, „pogańska głowa—serce chrześcianina,“ jak wyrażał się on sam o sobie. Należał do tego tak rozpowszechnionego dzisiaj typu natur religijnych, a pomimo to nieprzyznających się do żadnej określonej religii.

Może to ktoś uważać za paradoks, a jednak wydaje mi się często, gdy myślę o tego rodzaju ludziach, że oni to właśnie są jedynymi przedstawicielami prawdziwego i głębokiego uczucia religijnego, na jakie się może zdobyć nasza epoka. Jak każde uczucie, tak i uczucie religijne rozwija się nader odmiennie, zależnie od warunków swojego rozwoju i w różnych czasach nader różne może przybierać formy; nie wydaje mi się więc nieprawdopodobnem przypuszczenie, iż niejeden z tych, których same imiona budzą już zgorszenie wśród prawowiernych — taki np. Lammenais lub nawet Renan, w pierwszych wiekach chrześcijaństwa mogliby być obrońcami i ojcami kościoła. Dogmaty i legendy religijne mogą iść w zapomnienie, lecz dopóki pozostanie szczere i gorące uczucie religijne, dopóty i sama istota religii pozostanie nietkniętą, gdyż „religia“ jest „Bogiem odczutym przez serce,“ jak mówi Pascal, a Bóg ten odczuwanym jest głęboko przez serca tęskniące za Nim w krwawej męce, jaką sprawia im pustka, szerzona naokół przez umysł badawczy i chłodny.

W uczuciu też leży istota religijności Amiela. „Religia—powiada on—zastępuje początkową naukę i filozofię, następnie pozostaje jej jedna tylko dziedzina, ale ta stanowi przynajmniej jej własność niepodjemną. Dziedziną tą jest uczucie — uczucie obcowania z Bogiem, zasadą powszechnego porządku.“ (II 263). Z powodu dysput teologów protestanckich—pisze on: „Według mnie, chrześciaństwo jest przedewszystkiem religią, a religia nie jest bynajmniej metodą; jest ona życiem i to życiem wyższem, nadprzyrodzonem, mistycznem w swem pochodzeniu, praktycznem w swoich owocach. Jest ona obcowaniem z Bogiem, entuzyazmem głębokim i spokojnym, miłością promieniejącą, siłą, która tworzy, szczęśliwością, która się wciąż rozwija; jednem słowem religia jest to *stan duszy*. (I. 237). „Doskonałość, jako cel, jeden wzór, jako oparcie w walce życiowej, wzniosłość, jako dowód boskiego pochodzenia — oto całe chrześciaństwo w streszczeniu“—dodaje on nieco dalej.

Amiel miał prawo uważać się za chrześcianina: zasłużył on na to przez swą miłość gorącą i cześć głęboką dla Odkupiciela. „Można—powiada on—żyć w niezgodzie ze wszystkimi kościołami, i schylić pomimo to głowę przed Chrystusem. Można wątpić o cudach i zasadach katechizmowych i kochać świętego i sprawiedliwego, który przyszedł na świat, aby nas zbawić, nie zaś, aby nas potępić. Chrystus przeżyje wszelkie krytyki, skierowane przeciw chrześciaństwu i, gdy chrześciaństwo umrze, pozostanie religia Jezusa.

A w innem miejscu jeszcze wyraźniej: „Chrześciaństwo zamienia dziś swą siedzibę historyczną na czysto duchową. Należy wyzwolić od wszelkich domieszek Ewangielię czystą i wieczną. Nareszcie gdy uda nam się odtworzyć stan ducha, który był komórką życiodawczą Ewangielii, będziemy w posiadaniu samej istoty religii, tego, co stanowi jej *punctum saliens*“ (II 43—44).

Wiem, że takie pojmowanie religii nie wystarcza; a przecież w pojmowaniu tem pozostają nienaruszonymi wszystkie zasadnicze pierwiastki religii. „Tem, co zanika w religii—powiada Amiel—jest nie to, co w niej jest godnem podziwu; odpada tylko to, co jest wypadkowem, arbitralnem...“ W czem tkwi zresztą istota cudów? „Cud—czytamy w innem miejscu dziennika—jest wizyą odsłaniającą nam bóstwo po za naturą. Niema cudów dla obojętnych, dusze religijne jedynie mogą spostrzegać palec boży w pewnych faktach.“ Amiel mógłby dodać, że jeżeli dla obojętnych niema wcale cudów, to dla dusz prawdziwie religijnych przepełniają one świat cały. Jeżeli cudem jest postrzeżenie Boga w naturze—to jednym nieustannym cudem jest ona sama.

Uczucie religijne, leżąc jak i wszelkie uczucie w półświadomych głębiach istoty ludzkiej — odziewa się zwykle w powierzchowną szatę wyobrażeń i pojęć całkowicie świadomych, które dla umysłów płytkich stanowią całą istotę religii. Pojęcia te i wyobraźnia zmieniają się wraz z naturą umysłu, w którym się rodzą; jest jasnem, że umysł tak zmienny i niestały jak Amiela, poprzestać musiał pod tym względem na bardzo ogólnych tylko zarysach jeżeliby chodziło tylko o nazwę dla tych jego pojęć, kończącą się wedle zwyczaju na „izm“—to panteizm wydawałby mi się jeszcze najodpowiedniejszą. Niechaj jednak i tu Amiel mówi sam za siebie.

„Zdaje mi się jednak — dodaje on nieco dalej,— że jedynym trwałym nabytkiem mej myśli, jest jakaś fenomenologia ducha, postrzeżenie i świadomość przekształceń powszechnych. Wszystkie przekonania poszczególne; zasady ściśle sformułowane wydają mi się przesądami, niezbędnymi w praktyce, lecz zwężającymi i zacieśniającymi umysł. Partye polityczne, społeczne, literackie, religijne — to ankyloza ducha, każde wierzenie specyalne ma w sobie coś sztywnego, tamującego ruchy — ale sztywność ta może być niezbędną w swoim czasie.“ (II 323—324).

Dobiegam końca. Zarys ten nie jest bynajmniej zupełnym; wiele jeszcze można by powiedzieć o Amielu i to rzeczy zupełnie innych, niż te, o których dotąd mówiłem. Sądziłem jednak, że takie wyodrębnienie pewnych tylko stron jego umysłu—wystawi je w jaskrawszem świetle i uważałem to za pożyteczne.

Wnioski ogólne — jeżeli wogóle może być o nich mowa, nie są zbyt pomyślne dla ludzi typu Amielowskiego, przynajmniej o ile słowu „pomyślnie“ dajemy przeciętnie używane znaczenia. Łączą oni w sobie niezwykłe zdolności teorytyczne, niektóre cechy moralne nader dodatnie, jak np. tolerancyę bezwzględną — z niemniej bezwzględną zwykle niezdolnością do życia. Gdyby usposobienie takie stało się ogólnie panującem w jakiemś społeczeństwie, zginęłoby to społeczeństwo niechybnie. Wątpię jednak, aby społeczeństwa ludzkie, jeżeli kiedy zginąć muszą, zginąć miały z nadmiaru inteligencyi. Życie społeczne wymaga koniecznie pewnej ilości złudzeń, jest ono tym okrętem, mającym kotwicę w niebie, o którym wspomina Rivarol. Wierzę też z Renanem, że układy społeczne potrafią zawsze wydobyć ze swego łona ilość złudzeń do życia potrzebną. A tacy ludzie, jak Amiel? Niewątpliwie liczba ich zapewne wzrosnąć może znacznie; zawsze jednak pozostaną oni tylko nader minimalną częścią swych społeczeństw, i przytem częścią stojącą zupełnie na uboczu od ogólnego życia z jego walkami i pracami.

„Nie jest jednak może zbyt wielkiem złem—powiada Amiel—jeżeli obok milionów oddanych całkowicie troskom dnia powszedniego — kilka dusz brahmanizuje w spokoju.“

Dobrze jest także—dodam — nam, zmęczonym temi powszedniemi troskami i rozgorączkowanym tysiącem drobnych pożądań, wspomnieć od czasu do czasu takich jak Amiel ludzi i przeżyć z nimi chwil kilka.

Na zakończenie jeszcze jeden ustęp z dziennika Amiela, pisany na krótko już przed śmiercią. „Noc była straszna. Walczyłem od 3 do 4 godzin, z dławiącą mnie chorobą. Jasnem jest, że czeka mnie uduszenie. Nie wybrałbym tego rodzaju śmierci, ale tam gdzie niema wyboru, trzeba się poddać. Spinoza skonał wobec wezwanego przez się lekarza. Ty musisz się oswoić z myślą, że umrzesz niespodziewanie którejś nocy, zaduszony przez laryngitis. Śmierć taka nie jest warta ostatnich chwil patryarchy umierającego na łonie rodziny, pogrążonej w modłach. Twojej śmierci brak będzie piękna, wielkości poezyi, ale stoicyzm polega na rezygnacyi. *Abstine et sustine*. Wiesz zresztą, że masz przyjaciół wiernych, lepiej jest oszczędzić im przykrości. Jedno słowo wystarcza: Niech się dzieje wola Boga, nie moja. Leibnitza odprowadził na cmentarz jeden tylko wierny sługa. Osamotnienie śmiertelnego łoża i trumny nie jest złem. Tajemnica nie da się podzielić. Dyalog z Panem trwogi i postrachu nie wymaga świadków. Ci tylko, którzy pozostają, przywiązują wagę do ostatniego pożegnania z tym, który odchodzi.“

*Stanisław Brzozowski.*

## POEZYE

Z cyklu „Sonety północne.“

### [illegible]

Najdalszy strażnik ziemi—Nordkap siwowłosy,
Nad wielkim oceanem stoi zadumany.
O stopy jego biją z wściekłością bałwany,
Rzucając w chmurne niebo potężne serc głosy.

Mgły szturmują do niego, polarne orkany,
Ciężkie góry lodowe na jego prą boki,
Gryząc szklistym swym zębem podnóże opoki,
A on stoi jak tytan — wielki, niezachwiany.

Lata, wieki jak fale bez ustanku płyną,
Wicher czasu je niesie w przeszłość chyżopiórą,
Z niemi ludzkich pokoleń przemija tłum liczny.

On sokole swe oko wytężył w dal siną
I tak stoi niezmiennie, owinięty chmurą —
Najdalszy strażnik ziemi, Nordkap niebotyczny.

Z cyklu „Morze“

### W Komang-Fjordzie.

(Norwegia półn.).

Kraino skał podniebnych, lodowców i morza,
Od wieków pogrążona w głębokiem milczeniu,
Gdzie jedna o północy budząca się zorza
Codziennie wita drogę niknącą w półcieniu...

Kraino skał podniebnych, przepaści i morza!
O, jakże piękną jesteś w swej krasie dziewiczej,
Chociaż szczodra w czem innem święta ręka boża
Odmówiła ci ciepła i pieśni słowiczej!

Na szczytach twych lodowców wśród blasków [i ciszy,
Gdzie wielkim skrzydłom orłów wytchnienia po-[trzeba,
Swobodnie w dal szybują roje marzeń lotnych,

Swobodniej bije serce, swobodniej pierś dyszy,
I dusza z pyłów ziemskich tam rwie się do nieba,
Kraino snów na jawie i dumań samotnych!

*Marjusz Zaruski.*

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** *Tydzień* podaje, że w gub. Piotrkowskiej od czasu założenia Banku włościańskiego zawiązało się 301 spółek włościańskich, które nabyły ogółem 50,152 morgów ziemi.

— W Galicyi ogłoszone zostało rozporządzenie monarsze o sprzedaży Wawelu, który przeszedł na własność kraju.

— *Gaz. policyjna* donosi, iż jeden z dorożkarzy za odmówienie jazdy i rozmawianie z pasażerem po polsku, na zasadzie punktu 2 postanowienia obowiązującego, wydanego d. 14 lipca r. z. przez generała-gubernatora, zgodnie z Najwyżej zatwierdzoną d. 11 kwietnia 1900 r. uchwałą komitetu ministrów, skazany został na 5 dni aresztu policyjnego.

— Wkrótce ma być przeprowadzone nowe opra-[illegible] praw Żydów do zamieszkiwania w różnych miejscowościach państwa. Ministeryum spraw wewnętrznych zażądało dokładnych wiadomości o wszystkich żydowskiego pochodzenia lekarzach, dentystach, akuszerkach i farmaceutach, którzy nie zajmują się odpowiednią praktyką, zarówno jak o składzie ich rodzin.

— Historyk, M. Bobrzyński, mianowany został profesorem uniwersytetu Jagiellońskiego.

**Podwyższenie etatów.** Na wniosek ministerym spraw wewnętrznych z przedstawicieli różnych ministeryów utworzoną ma być specyalna komisya w celu przejrzenia i zmiany etatów służby państwowej, które obowiązują od roku 1827. Uznano, iż oznaczone wówczas normy pensyi, dziś, wobec znacznego podrożenia kosztów utrzymania, są niewystarczające. W niektórych dekasteryach władze, nie mogąc podwyższać etatów, dodawały różne nadetatowe wynagrodzenia, co przy opracowaniu nowych etatów wzięte będzie pod uwagę.

**Szkoły.** Według danych urzędowych kurs nauk w szkołach wyższych i średnich w Królestwie Polskiem ukończyło: w uniwersytecie warszawskim 161 studentów, w instytucie weterynaryjnym 25, w instytucie głuchoniemych i ociemniałych 16 uczniów i 7 uczenic, w gimnazyach męzkich w Warszawie 165 uczniów, na prowincyi 277, w progimnazyach warszawskich 58 uczniów, w szkole realnej warszawskiej 56, w prowincyonalnej 55 uczniów.

— Ministeryum oświaty rozpatruje obecnie sprawę reformy wynagrodzenia nauczycieli szkół średnich i wogóle polepszenia ich bytu materyalnego. Wynagradzanie za liczbę lekcyj ma być zmienione na pensyę stałą.

— Kurator okręgu naukowego zawiadomił zarząd tutejszego instytutu politechnicznego, iż z rozporządzenia ministeryum oświaty do egzaminów konkursowych, dających prawo wstępu do politechniki, mają być na przyszłość dopuszczani kandydaci, którzy ukończyli z odznaczeniem średnie szkoły techniczne z kursem czteroletnim.

— Podania o przyjęcie w poczet studentów politechniki warszawskiej na rok 1901—1902 przyjmowane będą od dnia 23 lipca do 14 sierpnia w kancelaryi instytutu. Miejsc wolnych na I kursie jest 194, mianowicie: na wydziale mechanicznym 84, na inżyniersko-budowlanym 75 i na chemicznym 55. Na kursie II wydziału mechanicznego niema zgoła miejsc wolnych. Szczegóły warunków przyjęcia, na żądanie, wysyła kancelarya instytutu politechniki bezpłatnie.

— Przy Towarzystwie Akademickiem w Zurichu utworzone zostało, podobnie jak w roku ubiegłym, biuro informacyjne na czas wakacyjny. Interesowani mogą otrzymywać listowne objaśnienia o warunkach studyów w Zurichu. Adresować: Zurich Polnischer akademischer Verein „Ogniwo," Uniwersitatstr. N. 11.

**H. K. T.** *Gazeta toruńska* donosi z Dzierzążna pod Gnieznem, że podczas odpustu w Nowej Cerkwi, przybyłym tam kramarzom żandarm zabronił sprzedaży książek do nabożeństwa w języku polskiem.

**Przemysł i handel.** Akcyjna fabryka cementu „Rudniki" (pod Częstochową), założona przez kapitalistów francuskich i belgijskich, likwiduje swoje czynności z powodu strat poniesionych przy eksploatacyi (*Kur. Codz*).

— Według wiadomości biura zjazdu górniczego z zagłębia dąbrowskiego wywieziono węgla kolejami Warsz.-Wiedeńską i Dąbrowską: w styczniu r. b. 17,652,220 pud., w lutym 15,347,800 pud., w marcu 16,902,780 pud. razem przez trzy miesiące 49,902,800 pud. W porównaniu z rokiem zeszłym (w tychże miesiącach) mniej o 5,515,920 pudów. Obniżka tłomaczy się lżejszą zimą i zmniejszoną czynnością w niektórych fabrykach.

**Zjazdy.** W Przemyślu odbył się wiec nauczycieli ludowych, na który przybyło przeszło 1000 uczestników z całej Galicyi. Większość stanowiły nauczycielki. Między innemi poruszono sprawę płacy i wzmocnienia rady szkolnej czynnikami rządowymi.

**Zmarli.** Kazimierz Pankowski, w Mokrzanach w Galicyi, b. dyrektor szkoły rolniczej w Dublanach.

## Odpowiedzi Redakcyi.

*P. Marcelemu Sachs.* Wierszy Pańskich drukować nie będziemy.

*Dr. Moszczyc w Bruchsal.* Prenumerata odebrana; przy zmianie dostaliśmy 4 rb. 60 kop., do dopłacenia pozostaje kop. 40. Numery zaległe wysłane.

*P. D. w L.* Zgoda.



Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 13 Іюля 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.